

Pomoc  
str. 3

Nie ma miejsca  
dla niebieskich  
ptaków str. 4

„Pożyjesz  
zobaczysz“?  
str. 5

„Sen“  
na trapezach  
str. 8

# Kamena

Wychodzi od 1933 r.

LUBLIN 14 I 1973 Nr 1 (513)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 2 ZŁ



Rys. A. Stok

**MÓWIA:** Józef Dechnik, Lesław Gnot, Adam Kędzior, Zygmunt Łapacz, Wiesław Skrzydło, Ryszard Wiśniewski, Stanisława Witkowska, Marian Wojtas, Stanisław Zgrzywa

## DWA LATA PO VII PLENUM

## ROK PO VI ZJEŹDZIE

**J. Dostatni:** — Od grudniowego VII Plenum KC i również grudniowego VI Zjazdu PZPR obserwujemy, jak wokół nas i w nas samych następują coraz większe przemiany: powszechne identyfikowanie się z nowym programem partii, żywiołowe wyzwalanie się inicjatywy indywidualnej i zbiorowej, szybki jak nigdy dotąd rozwój naszej gospodarki, nobilitacja fachowców i odwagi w podejmowaniu decyzji, zdecydowany kurs na nowoczesność i w produkcji i w sposobie myślenia, lepsza jakość pracy, wyższa wydajność, sprawniejsza organizacja, lepsze zaopatrzenie sklepów itd. A wszystko w konkretnym, powszechnie już odczuwalnym celu — podniesienia stopnia życiowej, polepszenia warunków socjalno-bytowych. Stało się to celem nie na pojutrze, ale na dziś i na jutro. Budujemy drugą Polskę już nie tylko domów mieszkalnych, ale ludzi, którzy w socjalizmie widzą nie hasła, ale przede wszystkim jego głębokie treści i zdają sobie sprawę, jakie to nakłada na nich obowiązki. Jak to oceniają najdzisiejsi goście na podstawie życia osobistego i zawodowego, jak na postępujące zmiany reaguje ich otoczenie, czy i jak włącza się on aktywnie do tych zmian, czy możemy już być zadowoleni, a jeżeli nie — to co trzeba najpilniej załatwić

dzisiaj i na jutro i — co chyba najważniejsze — że te cele już się realizuje. Stąd powszechna aproba planu partii, czego dowodem jest chociażby nieformalna, ale z takim powodzeniem przeprowadzona akcja 20 miliardów zł.

Alle ludzie patrzą również krytycznie — i to dobrze. Chcieliby, aby pewne sprawy były załatwiane szybciej, lepiej, sprawniej. Mają chyba słuszne pretensje do środków propagandy, że pokazujemy

tro nie spowoduje ujemnych reperkusji dla krytykującego. Chodzi mi głównie o krytykę w czasie powstawania pewnych zjawisk, gdy rzecz można stosunkowo łatwo naprawić lub uzupełnić, gdy jeszcze nie poniesie się dużych kosztów, gdy jeszcze nie trzeba zmieniać ludzi.

Odczuwamy jako rzecz dodatnią wymianę kadr na różnych stanowiskach, dopływ nowych ludzi odpowiednio przygotowanych, młod-

skonszenia tego oddziaływania różnymi kanałami, środkami i na wszystkie środowiska. „Kamena” ma krąg odbiorców, od których nie mało zależy realizacja zadań, wynikających z pogrudniowej polityki partii i wskazań VI Zjazdu. Inicjatywę dzisiejszej dyskusji należy uznać za bardzo pożyteczną.

Wiadomo, że świadomość, to zjawisko wtórne, a zarazem warunkujące dalszy postęp. Wiadomo również, że okres przedgrudniowej polityki ukształtował określone na-

optymistyczną, a zarazem realistyczną perspektywę obfitości, nowoczesności, światowego standardu. Ludzie coraz lepiej pojmują, że socjalizm jest swój, własny, nie widzą go już jako pasma niekończących się trudności, ale jako szansę rozwojową, chociaż nie lekceważą trudności.

Kształtuje się też inny pogląd na sprawę młodych roczników. Poprzednio określono je jako wyz. demograficzny z dodatkiem, ile to będzie z tym wyz. trudności. To wywoływało u młodych ludzi kompleksy, żal, że przypadło im życie, uczyć się i podejmować pracę w takim „trudnym” okresie. Żal i zniechęcenie. Obecne traktowanie tych młodych roczników, lepiej wyszkolonych, jako wielkiej szansy rozwojowej kraju i narodu, działa niezwykle mobilizująco, wpływa na aktywność nie tylko młodzieży, ale i starszych, którzy także inaczej widzą już miejsce młodzieży.

**J. Dostatni:** — Wiemy, że ze względu na zaszczyt historyczne powiat bilgorajski był terenem trudnym, zwłaszcza gospodarczo. Jak to wygląda dzisiaj?

**J. Dechnik:** — Ludzkie aspiracje dźwigania się ze starych zapór nie budziłyśmy już poprzednio. Ale przecież nie tak dawno jeszcze wiele przemówień można było odczytać tak: nie jest dobrze, będzie gorzej. To się radykalnie zmieniło. Niemal każdy u nas, nawet w najbardziej oddalonym od miasta gospodarstwie, uważa, że socjalizm pomaga i jemu i jego dzieciom w osiągnięciu lepszego życia. Tym, którzy dobrze gospodarzą, praca opłaca się coraz bardziej — w rolnictwie, przemyśle i w każdej dziedzinie. Po VII Plenum ludzie czują się inaczej, chętniej inwestują, coraz więcej młodych z wyboru pozostaje na roli. Podczas gdy w roku 1970 mieliśmy na studiach stacjonarnych i zaocznych około 250 osób, dziś mamy około 450 — wzrasta pęd do podnoszenia kwalifikacji, bo to daje satysfakcję i szansę.

W połowie grudnia ub. roku odbyła się w naszej redakcji dyskusja pod hasłem wywoławczym: dwa lata po VII Plenum, rok po VI Zjeździe. Akurat mijala pierwsza i druga rocznica wydarzeń, które spowodowały tak wielkie przemiany w naszym życiu. Zamieszczamy relację z tej dyskusji, w której wzięli udział: Józef Dechnik — członek KC PZPR, I sekretarz KP PZPR w Bilgoraju, Lesław Gnot — redaktor naczelny „Kuriera Lubelskiego”, Adam Kędzior — I sekretarz KZ PZPR w lubelskiej FSC, Zygmunt Łapacz — kierownik Samodzielnego Oddziału Spraw Osobowych Prezydium WRN w Lublinie, prof. dr hab. Wiesław Skrzydło — członek Egzekutywy KW PZPR, rektor UMCS, Ryszard Wiśniewski — dyrektor Woj. Urzędu Statystycznego, Stanisława Witkowska — sekretarz WKZZ, Marian Wojtas — dyrektor Zjednoczenia Budownictwa Rolniczego, Stanisława Zgrzywa — sekretarz Woj. Komitetu Frontu Jedności Narodu. Redakcję reprezentował red. Jerzy Dostatni.

zbyt mało rzeczy wymagających jeszcze naprawy. My w prasie też zbyt często patrzymy na wskaźniki. Niedawno mieliśmy w „Kurierze Lubelskim” dyskusję o usługach. Wszyscy wiedzieli, o ile procent one wzrosły w każdym podziale, ale nikt nie potrafił powiedzieć, jaki procent potrzeb jest zaspokojonych, ile godzin i dni tracimy, aby załatwić sobie jakąś usługę.

W odczuciu wielu ludzi wciąż jeszcze nie stworzono przychylniej atmosfery do jawnej, swobodnej, uczciwej krytyki. Niektóre środowiska są obecnie pod presją szczególnie krytycznych uwag. Ale są to z reguły anonimowe, donosy. Prawda, że dzisiaj żadne jawne łamanie krytyki nie uchodzi płazem. Ale chodzi o to, aby było społeczne, powszechne zaufanie, że jawna, życzliwa krytyka ani dziś, ani ju-

szych, posiadających więcej energii i samodzielności myślenia. Ale czemu tym zmianom tak często jeszcze towarzyszy stęchła atmosfera skandalizowania, to, co w jednym z felletonów nazwałem toplotkiem?

W moim odczuciu znacznie bardziej widoczne, ale chyba łatwiejsze są przemiany w sferze ekonomicznej, produkcyjnej, niż w sferze stosunków międzyludzkich, działań społecznych, świadomości. Tu czuje się pewien niedosyt, bo jest jeszcze dużo, bardzo dużo do zrobienia.

**J. Dechnik:** — Kierownictwo partii wskazuje — a potwierdza to praktyka — że postęp w sprawach ekonomicznych zależy od oddziaływania wychowawczego w kierunku socjalistycznym. Stąd potrzeba do-

wyki myślowe, określoną świadomość. Powodzenie w rozwiązywaniu spraw rozwoju gospodarczo-kulturalnego zależy od tego, jak szybko potrafimy doprowadzić do zmian w myśleniu i świadomości oraz dostosowania myślenia i świadomości do obecnych zadań. Cele i metody pogrudniowej polityki partii są zbieżne ze społecznym odczuciem ludności, toteż z miejsca chwyciły. Nie znaczy to jednak, że automatycznie dokonały się wszystkie potrzebne przeobrażenia w myśleniu i świadomości. Codzienna praca wyjaśniająca bezpośrednio wśród ludzi i doskonalenie środków masowego oddziaływania ten proces przeobrażeń pogłębiają i przyspieszają.

W wyniku tego coraz powszechniej widzi się zależność wyników od własnego zaangażowania, osobistego wkładu, kojarząc z tym

Dokończenie na str. 6-7



# KULTURA 1973



## Literatura

● Laureatem III ogólnopolskiego konkursu poetyckiego im. Jana Śpiewaka został Stanisław Gola z Bielska-Białej za zbiór wierszy pt. „Elegia na śmierć Don Juana”. Uczniakiem został autor.

● Oddział bydgoski ZLP liczy 25 członków, a Kolo Młodych 21 adeptów pióra. W ciągu kilku ostatnich lat literaci bydgoscy wydali przeszło 50 książek, w tym także z zakresu krytyki i estetyki literackiej.

● Bez większego echa minęła w naszym kraju w grudniu 1972 rocznica urodzin jednego z największych poetów niemieckich — Henryka Heinego. Heine w roku 1822 przez kilka tygodni przebywał w Wielkopolsce, po czym napisał szkic „O Polsce”. Był nie tylko przyjacielem Polaków, ale zawsze stał w obronie naszego narodu przed uciskiem państw rozbiorowych.

● W moskiewskim Państwowym Muzeum Literaturnym trwa wystawa „Wieloletnia literatura naszej ojczyzny”. Jest ona poświęcona 50-letniej ZSRR, a ilustruje osiągnięcia prozatorów, poetów i dramatów wszystkich republik związkowych. Zawiera także cenne rękopisy i rzadkie fotografie.

## Teatr

● W Zurychu odbyła się prapremiera spektaklu zatytułowanego „Akt”, a będącego kompilacją czterech dramatów Gombrowicza. Reżyserował Jerzy Jarocki, który przygotowuje dla tamtejszej sceny operowej „Króla Ubu” Krzysztofa Pendereckiego.

● Teatr Wielki w Rymie wystawił „Lajnie” Majakowskiego. W adaptacji reżysera Carlo Zecchi, akcja została przeniesiona do Neapolu, a treść podawana jest w sposób lekki, pozornie żartobliwy. Sztuka podobno nie straciła ze swej wartości, a dla widza włoskiego stała się zrozumiała.

● Teatr im. Gorkiego w Berlinie obchodził 20-lecie. W tym czasie wystawił 78 premier i 15 prapremier — dzieła Gorkiego, autorów rosyjskich i radzieckich.

● Aktoży francuskiego teatru „De l'Acte” w Tuluzie w oryginalny sposób protestują przeciwko pozabawieniu ich subsydiów i sal. Dają przedstawienia na ulicach, placach i drogach, otaczając karawan, na którym leżą symboliczne „zwłoki kultury”.

## Sztuka

● Ponad tysiąc osób dziennie zwiedza 39 pokonkursową wystawę zespołu z Muzeum Historycznym Krakowa. W dotychczasowych 38 ekspozycjach zaprezentowano już 1700 zespołów.

● Słynna „Madonna” Rafaela, znajdująca się dotychczas w posiadaniu firmy handlującej dziełami sztuki, została zakupiona za 3 miliony dolarów do prywatnej kolekcji amerykańskiego przemysłowca Nortona Simona.

## Muzyka

● 19 lutego odbędzie się w Olsztynie prawykonywanie trzyczęściowego oratorium pt. „De Revolutionibus Orbium Coelestium”. Kompozytorem jest Tadeusz Paclorkiewicz z Warszawy, tekst w oparciu o utwory poetów starogreckich i dzieło Kopernika napisał poeta olsztyński Stefan Polom.

● Pomorski Związek Śpiewaczy obchodzi 60-lecie istnienia. 23 zespołów śpiewających na Pomorzu daje rocznie 400 koncertów.

● Z okazji wystawy „Dwa wieki opery francuskiej” w Paryżu wystawiono dzieło Jeana Rameau „Indes galantes”. Krytycy i widzowie nie mogą dojść do porozumienia, czy jest to rekonstrukcja klasycznej opery, czy też zupełnie nowe dzieło.

● Po Krakowie i Poznaniu również w Warszawie wystawiono w Operetce muzical radzieckiego kompozytora Andrieja Pietrowa „My chcemy tańczyć”. Wkrótce premiera odbędzie się w Łodzi.

## Film

● Mostfilm realizuje „Zbuntowaną Europę” w reżyserii Jurija Ozierowa, twórcy „Wyzwolenia”. Nowy film to obraz i historia walki wywoleńczej narodów wschodniej Europy przeciwko faszystom i kapitalizmowi.

● W Taszkencie zrealizowane jako pracę dyplomową Melisa Abzalowa „Ali Babę i 40 rozbojników”.

● Zakończył słynny hollywoodzki wytwórca „Paramount”, Adolf Zukor, ukochany sto lat. Jest „bonerowym prezesem” wytwórni i codziennie zjawia się w swoim gabinecie, doskonale orientując się we wszystkim, co się dzieje w wytwórni i w świecie filmowym.

## Różne

● W Szczecinie powstał Komitet Środowiskowy Kultury PZPR, skupiający członków partii w zawodowych placówkach kultury oraz działających w mieście stowarzyszeń i związków twórczych. Jego zadaniem jest działanie na rzecz wzmocnienia partyjnego kierownictwa kultura oraz przyspieszenie likwidacji zaniedbań. Podobne komitety istnieją już wśród nauczycieli i pracowników handlu.

● Przez cały tydzień trwały imprezy kulturalno-oświatowe zorganizowane w Stalowej Woli z okazji 25-lecia istnienia Łamiejszego Zakładowego Domu Kultury.

● 14 tys. tomów posiada biblioteka Domu Kultury Radzieckiej w Warszawie. Jest to największy poza granicami Kraju Rad księgozbiór literatury rosyjskiej i radzieckiej. FilMOTEKA posiada 23 tys. tytułów.

● W połowie grudnia w Sofii obradował II Kongres Kultury Bułgarskiej, połączonego z wielu imprezami kulturalnymi.

● Lollobrygida wydała we Włoszech album, obejmujący kilkadziesiąt fotografii „z życia” rodzinnego kraju. Krytycy twierdzą, że są to dzieła dużej wartości artystycznej. Artorka robiła zdjęcia podróżując w peruce i z polickami wypełnionymi od wewnątrz pestkami śliwek, aby nie być poznana.

● Leksykonografowie i filolodzy angielscy doszli do wniosku, że jeżeli pewne wyrażenia są powszechnie używane, nie należy zamykać oczu na fakt ich istnienia. I dlatego jako suplement do słynnego słownika oxfordzkiego ukazał się pierwszy (z trzech) tom zawierający 18 tys. słów ze słownika młodzieżowego lub różnych gwar, często bardzo niecenzuralnych.

## Lubliniana

● Książka Ireneusza Cabana i Zygmunta Mańkowskiego pt. „ZWZ i AK w Okręgu Lubelskim”, wydana przez Wydawnictwo Lubelskie, otrzymała nagrodę „Polityki” w dziale „Źródła i dokumenty”. Poprzednio już książka ta wyróżniona została nagrodą III stopnia ministra Szkolnictwa Wyższego, Nauki i Techniki. Wnuszujemy!

● Jedną z dwóch drugich nagród (pierwszą nie przyznano) w konkursie na opowiadanie ogłoszonym przez Oddział Poznański ZLP i miesięcznik „Nurt”, otrzymał nasz kolega redakcyjny Ireneusz J. Kamiński za pracę pt. „Troczi”. Nagrodę „Dziennika Ludowego” w ogólnopolskim konkursie fotografii prasowej otrzymał kol. Jan Trembecki z „Kurierza Lubelskiego” za fotoreportaż pt. „Śniadanie drwali”. Obu laureatom gratulujemy.

● W dawnej pracowni malarskiej Zenona Kononowicza przy ul. Skłodowskiej w Lublinie utworzono punkt muzealny przy zachowaniu pracowni w takim stanie, w jakim była za życia artysty.

● Gościem Biblioteki im. Lopaćńskiego i innych placówek bibliotecznych był w grudniu Joan Hohos, dyrektor biblioteki miejskiej w Sibiu (Rumunia).

● Zespół Ikersi z ZDK w Świdniku zdobył pierwsze miejsce na IV Ogólnopolskim Festiwalu Pieśni Zaangażowanej w Katowicach.

**K**ULMINACYJNYM punktem uroczystych obchodów 50-lecia powstania Związku Radzieckiego stało się wspólne posiedzenie KC KPZR, Rady Najwyższej ZSRR i Rady Najwyższej RFSRR. Okolicznościowy referat wygłosił sekretarz generalny KC KPZR Leonid Breżniew.

Zastanawiając się, towarzysze — mówił przywódca radziecki — w latach po utworzeniu Związku Radzieckiego ogólnie rozmiary produkcji przemysłowej naszego kraju wzrosły 320 razy. Co prawda, ktoś może powiedzieć: porównanie z rokiem 1922 nie jest charakterystyczne — wszak to był rok powojennego chaosu i głodu. Rzeczywiście, tak jest. Ale porównajmy wtedy rok 1972 z przedwojennym rokiem 1940, gdy kraj nasz już przekroczył poziom przedrewolucyjny. Tylko w tym okresie rozmiary produkcji przemysłowej Związku Radzieckiego wzrosły 14-krotnie. Teraz w ciągu miesiąca przemysł radziecki wytwarza więcej produkcji niż przez cały rok 1940.

Inne charakterystyczne liczby, które znalazły się w referacie L. Breżniewa:

W porównaniu z rokiem 1940 realne dochody ludności zwiększyły się ponad czterokrotnie. Przeszło 7 razy wzrosł detaliczny obrót towarowy, 4,7 raza zwiększyła się liczba lekarzy w kraju, 6,5 raza wzrosła liczba obywateli mających wyższe, pełne i niepełne wykształcenie średnie.

W latach istnienia ZSRR rozmiary produkcji Ka-

# Dawniej rok - dziś miesiąc

zachstanu wzrosły 600 razy, Tadżyckiej SRR — ponad 500, Kirgiskiej — przeszło 400, Uzbekkiej SRR — prawie 240, Turkmeńskiej SRR — ponad 130 razy.

120 razy zwiększył się globalny zbiór bawełny w Uzbekistanie, 90 razy w Turkmenii. Kazachstan dostarcza obecnie prawie 30 razy więcej zboża niż w 1922 r.

Jeszcze na początku lat dwudziestych w republikach Azji Środkowej od 90 do 96 proc. ludności nie miało elementarnej znajomości sztuki pisania i czytania. Dziś w tych republikach alfabetyzm został całkowicie zlikwidowany. W samej Uzbekkiej SRR pracuje obecnie więcej specjalistów z wyższym i średnim wykształceniem zawodowym, niż w gospodarce narodowej całego Związku Radzieckiego w końcu lat dwudziestych.

Do niedawna zafarżoną peryferią była Moldawia. Jeżeli odliczyć wojnę i pierwsze lata powojenne, które zajęła odbudowa zniszczonej gospodarki, to na rozwój tej republiki w rodzinie narodów radzieckich przypada nie więcej niż ćwierć wieku. W tym czasie ta republika stała się jednym ze śpiących krajów, jednym z największych ośrodków sadownictwa i winiarstwa. Rozmiary produkcji jej przemysłu zwiększyły się 31 razy.

Późność hutnictwa, wielogabłowy przemysł maszynowy, wielki przemysł stoczniowy, rozwinięty przemysł chemiczny — oto czym jest dzisiejsza Ukraina Radziecka, w której produkcja przemysłowa wzrosła w okresie 50-lecia 176 razy.

Republiki bałtyckie — Litwa, Łotwa i Estonia po włączeniu na drogę socjalistyczną wykazały najwyższe w ZSRR tempo rozwoju. Rozmiary produkcji przemysłowej w porównaniu z rokiem 1940 wzrosły na Łotwie 31, Estonii — 32, na Litwie — 57 razy.

Federacja Rosyjska — to nie tylko Moskwa, Leningrad, Gorki i inne stare przemysłowe miasta centralnej Rosji. To również republika, mająca od przeszłości własne zafarżone regiony narodowe — 16 republik autonomicznych, 5 obwodów autonomicznych i 10 okręgów narodowych, które po raz pierwszy przy władzy radzieckiej uzyskały swą państwowość. Na jej terytorium żyje wiele dziesiątków narodów, w tym dużo takich, którym w okresie carskim groziło fizyczne wymieranie. Rozwój Federacji Rosyjskiej wymagał wysiłków zmierzających w różnych kierunkach. Chodziło o szybki postęp jak najbardziej rozwiniętych ośrodków i rejonów oraz o przewyższenie zafarżone znacznej części republik, m. in. o zagospodarowanie olbrzymich terenów Syberii, Dalekiego Wschodu i Północy. Ludzie pracy RFSRR wyznawali się z tych wielkich zadań. W ciągu 50 lat rozmiary produkcji przemysłowej RFSRR wzrosły ponad 300 razy, przy czym tylko w latach powojennych — 11-krotnie.

Nasze polskie koleżanki doświadczające — mówił dalej sekretarz generalny KC KPZR — jest wymownym potwierdzeniem leninowskich idei o wyższości, którą daje wielka, scentralizowana gospodarka narodowa w porównaniu z rozdrobnioną. Połączenie gospodarczych możliwości i zasobów wszystkich republik przyspiesza rozwój każdej z nich — zarówno najmniejszej, jak i największej.

[...] Ekonomika Związku Radzieckiego nie jest sumą ekonomik poszczególnych republik i obwodów. Jest to już od dawna jednolity organizm gospodarczy, który powstał na podstawie wspólnych ekonomicznych

celów i interesów wszystkich narodów i narodowości. [...] W ciągu pół wieku istnienia ZSRR ukształtowała się u nas i rozkwitła jednolita pod względem ducha i swej zasadniczej treści radziecka kultura socjalistyczna. Ta kultura zawiera w sobie najcenniejsze walory i tradycje kultury i bytu każdego z narodów naszej Ojczyzny. Jednocześnie każda z radzieckich kultur narodowych zasilana jest nie tylko z własnych źródeł, ale też czerpie z bogactwa duchowego innych bratnich narodów i ze swej strony wyciera na nie dobroczynny wpływ, wzbogaca je.

[...] Dziś już mamy pełne prawo powiedzieć: nasza kultura jest socjalistyczna w treści, pod względem głównego kierunku swego rozwoju, różnorodna pod względem form narodowych i internacjonalistyczna pod względem swego ducha i charakteru. W ten sposób jest ona organicznym stopem walorów duchowych, które tworzą wszystkie narody.

Bardzo wiele miejsca w swoim wystąpieniu poświęcił Leonid Breżniew aktualnej sytuacji międzynarodowej, wypuklając rolę braterskiej współpracy suwerennych państw socjalistycznych, zjednoczonych w Układzie Warszawskim.

Wojnę wietnamską nazwał najbrudniejszą ze wszystkich wojen, jaką zna historia amerykańska. Obecnie świat jest świadkiem nowych zbrodni imperializmu amerykańskiego w Wietnamie. Na rząd USA spada ciężka odpowiedzialność za te barbarzyńskie działania. Dążenie do zlikwidowania ogniska woj-

ny w Indochinach jest jednym z głównych zadań zagranicznej polityki Związku Radzieckiego.

Omawiając stosunki z Chińską Republiką Ludową sekretarz generalny KPZR przypominał, że od przeszło dziesięciu lat kierownicy ChRL obrali kurs na walkę z ZSRR, faktycznie zaś z całą wspólnotą socjalistyczną, którą uważają za główną przeszkodę na drodze ich wielkomocarstwowych knoń. ZSRR nie ma wobec Chin ani rozszerzeń terytorialnych ani ekonomicznych. Pierwszym międzynarodowym układem, który zawarła młoda Chińska Republika Ludowa, był układ o przyjaźni, sojuszu i pomocy wzajemnej ze Związkiem Radzieckim. ZSRR udzielił Chinom Ludowym olbrzymiej pomocy w stworzeniu przemysłu ciężkiego, w umacnianiu obrony, w przygotowaniu kadr narodowych. Wierzymy, że obiektywne interesy narodów naszych obu krajów, prawa historii i ostatecznym wyniku wezmą górę nad subiektywnymi wypaczeniami politycznymi i przyjaźni radziecko-chińska będzie odbudowana [...] Kiedy to nastąpi zależeć to będzie od samych Chin.

Przechodząc do zagadnień europejskich L. Breżniew oświadczył, że w miarę wzrostu potęgi i wpływu ZSRR i bratnich krajów socjalizmu, w miarę aktywizacji naszej pokojowej polityki — w polityce wielu państw kapitalistycznych coraz bardziej się zarysowują elementy realizmu. Dotyczy to przede wszystkim Francji. Dotyczy to i Niemieckiej Republiki Federalnej, której realistyczna polityka zagraniczna rządu z kanclerzem Brandtem na czele wywarła znaczny wpływ na sytuację w Europie. Dotyczy to również Stanów Zjednoczonych Ameryki w takim stopniu, w jakim ujawnia się tam gotowość do odstąpienia od wielu dogmatów „zimnej wojny”, które przez dłuższy czas określały kierunek całej amerykańskiej polityki zagranicznej.

Związek Radziecki będzie wytrwale kontynuować kurs na zapewnienie trwałego pokoju w Europie. (...) Nowy rozdział historii Europy ma zapoczątkować europejska konferencja bezpieczeństwa i współpracy, za której zwołaniem w ciągu wielu lat opowiadał się kraj socjalistyczny (...). Będziemy dążyli do tego, aby konferencja ucieleśniała została przekonywającymi wynikami, z korzyścią dla wszystkich jej uczestników.

O stosunkach ZSRR z USA sekretarz generalny KC KPZR powiedział m. in.:

Powaznym krokiem w rozwoju stosunków radziecko-amerykańskich były rozmowy, które prowadziliśmy z prezydentem Nixonem na wiosnę 1972 r. w Moskwie. Szczególnie ważne jest to, że obie strony wspólnie określiły podstawy stosunków wzajemnych między ZSRR a USA, przy czym uczyniły to w przedwidzeniu, że w wieku atomowym dla tych stosunków wzajemnych niemożliwa jest żadna inna podstawa — prócz pokojowego współistnienia.

Referat Leonida Breżniewa, który tylko częściowo byliśmy w stanie omówić, wywołał olbrzymie zainteresowanie na całym świecie. Nie dziwnego: rok 1972 jest powszechnie uważany za rok przełomu w stosunkach między Wschodem a Zachodem. Ludzkość chciałaby z większą nadzieją patrzeć na przyszłość naszej planety. Grudniowa eskalacja wojny w Wietnamie, gdy zdawało się, że rzeczywistość póki jest tu w zasięgu ręki, musi też nadziejcie nieco przysiąść.

**W** GRUDNIU ub. roku obchodzono 250 rocznicę urodzin ukraińskiego filozofa i poety Hryhorija Skovorody, który w drugiej połowie XVIII wieku był nieprzeciętnym zjawiskiem również w rozwoju starej literatury ukraińskiej.

Urodził się w 1722 roku we wsi Czornuchy na Połtawczyźnie w rodzinie niezamożnego Kozaka. Nauki pobierał w Akademii Mohylańskiej w Kijowie, gdzie oprócz teologii i filozofii studiował też poetykę i retorykę. Był następnie wykładowcą poetyki w Kolegium Perejasławskim i Charkowskim. Z obu kolegiów musiał odejść, gdyż popadł w konflikt z władzami duchownymi. Był też nauczycielem domowym.

W roku 1768 rozpoczął wykłady katechetyczne, stanowiące jego własny system moralności w duchu oświeceniowym. Po wielu nieporozumieniach z władzami rozpoczął życie „wędrownego filozofa”, chodząc od miejscowości do miejscowości propagował swoje poglądy na lewobrzeżnej Ukrainie. Wtedy też napisał swe najważniejsze dzieła, które dzieli się na trzy zasadnicze grupy:

I — traktaty filozoficzne, w których m. in. krytykował nierówność i niesprawiedliwość społeczną, powołując się na prawo natury. W swym poglądzie na świat wyznawał panteizm, zbliżony do renesansowej filozofii przyrody; według niego materia jest wieczna, a Bóg wszechobecny, a więc tożsamy z przyrodą. Długo filozoficzne Skovorody mają duże znaczenie dla rozwoju gatunku literackiego na Ukrainie.

III — wiersze, zebrane w tzw. „Ogrodzie boskich pieśni”. obejmowały Hryki, ody, pieśni historyczne i okolicznościowe wiersze patriotyczne. Były one bardzo popularne na Ukrainie, a nawet ślały się następnie pieśniami śpiewanymi nie tylko w cerkwi, lecz także jako pieśni świeckie.

Należy dodać, że Skovoroda pisał niektóre utwory po łacinie, wierszem i prozą, jak również tłumaczył Cicerona, Plutarcha i in. Znał kilka języków, w tym nielawatpiewie polski, świadczy o tym wiele fragmentów w jego twórczości, cytując bowiem niekiedy nazwy polskie obok greckich i łacińskich.

Twórczość Skovorody miała duże znaczenie dla rozwoju literatury ukraińskiej. Był on ostatnim przedstawicielem okresu baroku w tej literaturze.

O Skovorodzie napisano już sporo różnych rozpraw naukowych i popularnych, ale twórczość jego, dość trudna w odczytaniu, szczególnie filozoficzna, ciągle jeszcze czeka na swego badacza. Nie jest też rostrzygnięta całkowicie jednoznacznie sprawa języka, którym pisał. Była to bowiem bardzo trudna w odczytaniu mieszanina cerkiewnosłowiańskiego oraz rosyjskich. Literaturoznawcy skłaniają się do uznania, że Skovoroda używał języka ludowego, tylko archaizmy językiem pochodzącym z dawnych wieków, za który nakładają się elementy cerkiewnosłowiańskie i częściowo hebrajskie. Dopiero I. Kotlarski pod koniec XVIII wieku rozpoznał epokę w rozwoju ukraińskiego języka literackiego, który oparł na potocznej mowie ludu.

Mamy nadzieję, że jubileusz przyniesie szereg interesujących opracowań dotyczących tego pisarza i filozofa, który, jak dotychczas, w Polsce jest jeszcze bardzo mało znany.

M. L.



Fot. Sieghard Liebo



# POMOC

Ireneusz J. Kamiński

**M**IESZKANIE było zamknięte, nikt z niego nie wychodził, nikt nie wchodził. Dopiero po dwóch latach, przypadkowo, otwarto drzwi, aby zastać za nimi to, co zostało z człowieka po 24 miesiącach od chwili śmierci. Umarł tak, po cichu, bo był samotny; świat ludzi żyjących przyznawał się do niego tylko raz na miesiąc, dostarczając rentę. Może umarł z choroby, może z samotności, któż to wie?

Stara kobieta mieszka z synem i jego rodziną. Oddaje im swoją skromną rentę. Usiłuje pomagać w gotowaniu posiłków, lecz zesztywniała od reumatyzmu palce są mało wydajne; obierają 7 ziemniaków na godzinę. Kiedy prosi syna o zakupienie groszowych lekarstw, słyszy w odpowiedzi — „daj dwie dychy, to pójdę”. Ma jedno pragnienie: uciec do domu opieki społecznej. Nie wie jednak, jak to załatwić, synowi nie śmie powiedzieć, „bo zabije”. Kto jej pomoże?

Jeśli mieszka w Lublinie, w dzielnicy Tatarskiej, pomóc jej mogą następujące osoby: Wanda Gruszczyńska, Krystyna Łukaszk, Anna Klimkowska, Barbara Kloc, Genowefa Pączkoła i Halina Staszewska. Pełnią one funkcję pielęgniarek środowiskowych.

Podstawa prawna: zarządzenie Ministra Zdrowia i Opieki Społecznej zamieszczone w Dzienniku Urzędowym z 1966 r. (poz. 59), formalnie uruchamiające pielęgniarsko środowiskowe. Podstawa życiowa: coraz większa liczba ludzi samotnych, starych oraz wymagających domowej pielęgnacji. Początek faktycznej działalności: z braku kadry, dopiero luty 1972 r. Teren działania: dzielnica Tatarska i okolice, rejon przychodni przy ul. Odlewniczej. Kadra: 6 kwalifikowanych pielęgniarek, dodatkowo przeszkolonych w czasie miesięcznego kursu (z elementami pedagogiki). Czas pracy: nieregulowany. Uposażenie: takie samo, jak pielęgniarek wypisujących zwolnienia lekarskie w ciepłej przychodni (!). Środki lokomocji: najczęściej własne nogi. Pracujące w promieniu 5 km od macierzystej przychodni, po blocie i periferijnym pejzażu, akcentowanymi budkami z piwem.

Pan Misio ma znajomości, twierdzi, że wszystko może załatwić, zna bowiem milicjantów, lekarzy i dziennikarzy, zna jeszcze ważniejsze osobistości, ale na razie nie będzie o tym gadał, no, jeśli będzie trzeba, to on trafi, gdzie należy. Pan Misio nigdzie nie pracuje, bo i po co ma ręce brudzić, jeśli stara matka o trzymuje rentę, którą można rozdzielić zabrać i pójść w rejs dzienny lub dwudniowy, zamykając mamusię w domu, żeby broń boże coś się jej nie stało. „Ja tam o matkę dbam, proszę pani, ale u innych, to Sodoma i Gomora, ja służę adresami, człowiek to brzmi dumnie, wiem, więc adresami służę”.

A starzy ludzie mówią po cichu, żeby syn, zięć czy synowa, żeby ci wszyscy „najbliżsi” nie uszyli, bo jak dotrze do nich skarga i prośba matki o umieszczenie w domu opieki, to i przyłożyć gotowi, wyzwać od najgorszych, pokarać aresztem ścisłym o chlebie i wodzie, wyrzucić na klatkę schodową. „Do domu starców jej się zachciewa, nie zastanowi się, co by ludzie o nas powiedzieli”.

— Do tego Misia to ja się boję chodzić — mówi jedna z pielęgniarek.

Trafiają do różnych środowisk, kierując się informacjami poradni przeciwalkoholowej i przeciwgruźliczej, kartotekami własnej przychodni, wykazami biura ewidencji ludności, z których odnotowują fakty narodzin. Bywa przecież, że uzupełniają wiedzę tego ostatniego organu.

26-letnia kobieta, powiedzmy panna, matka czworga dzieci, poszła z domu w celach towarzyskich, przez pięć dni nie troszcząc się o los potomstwa. Przez pięć dni pielęgniarka opiekowała się dziećmi, za własne pieniądze kupując im mleko, zabiegając równocześnie o umieszczenie w domu dziecka. Wówczas to okazało się, że najmłodsze nie jest w ogóle zameldowane w domu mamusi, która po powrocie obiecała solennie pielęgniarkę, że „jej taki numer wykreci, jakiego nie widziała”. Po pewnym czasie złość odeszła, poprosiła o załatwienie jakiejś pracy, ale jak došlo do czego, nie pokazała się na oczy.

— Co pani sądzi o przymusowej sterylizacji kobiet?

— Absolutnie nie, to dno dla kobiety!

— W pewnych wypadkach powinno się stosować — opinia koleżanki.

— Wydział zatrudnienia bardzo przychylnie załatwia nasze próby o pracę dla takich osób, chce kierować na kursy zawodowe. Ale one nie chcą. Powinno się zorganizować obozy pracy przymusowej dla ludzi, którzy się od jakiegokolwiek roboty uchylają.

— Ja mam trudności z umieszczeniem dziecka w przedszkolu czy żłobku, a dla takiej zaraz się miejsce znajduje. Gdzie tu sens?

Rozpoczęły pracę z myślą o niesieniu pomocy chorym, ludziom starym, dzieciom. Tymczasem rzeczywistość zmusza je do refleksji nad moralnością, sprawiedliwością społeczną, do rozwiązywania problemów prawnych i psychologicznych, pospolitych i niezwykłych w swym dramatyzmie. Leczą, pouczają, strofują, proszą, spowiadają — okazuje się, że są potrzebne nie tylko jako pielęgniarki, lecz także, a może przede wszystkim, jako ludzie.

Pewnej starszej i samotnej kobiecie — syn z żoną mieszka o trzy przecznice dalej — musiały obiecać, że spędzą z nią Wigilię, a kiedy umrze, ubiorą ją w „sztywną, wykrochmaloną suknię i buty wywrotki, konieczne wywrotki”. Ktoś inny domaga się, aby mu obiady gotować, bo przyniesione z baru nie mają odpowiedniego smaku. Ta emerytka jest w stanie nieustającego rozdrażnienia, zapewne z powodu upośledzenia wzroku, co czyni ją nieufną. Ale wprost żąda wizyt, „rozlicza” pielęgniarki z planu obecności, powierza im skromną rentę, prosząc o zapłacenie czynszu mieszkaniowego, światła etc. Syn, zanim trafił do więzienia, utrzymywał się z tych 900 złotych. Ludzie mieszkający w okolicach Melgiewskiej, Gospodarczej, Hutniczej, Maszynowej, Łęczyskiej, Kresowej wiedzą już o istnieniu takich właśnie pielęgniarek, co to nie tylko leczy, ale i dziecko pomaga umieścić na kolonii, załatwia dożywianie w szkole, wystarają się o zapomogę z PKPS, o skierowanie starej matki do domu opieki społecznej. Niektóre jednak mieszkania stoją przed nimi zamknięte.

Matka inteligenta nie zamierza dokonać życia w domu opieki, choć synowa nalega od dawna. „Przez tę starą dęstałam nerwicy!” Siedemdziesięcioletnia matka ma osobny pokój, od miesiocy nie sprzątały; brudna pościel wala się po podłodze. „Wszystkie pieniądze wam oddałam, tyle wysiłku w ten dom włożyłam, nigdzie nie pójdę”. Dzieci synowej obserwują mechanizm fizycznego i psychicznego wykańczania babci i coś tam w ich młodej pamięci zapada, coś, co może kiedyś obrócić się przeciwko własnej matce, na wzór i podobieństwo... „A co to kogo obchodzi, to moja sprawa!” Do mieszkania przy ul. Hutniczej pielęgniarkom wstęp już wzbroniony.

O osiedlach Lubelskiej Spółdzielni Mieszkaniowej mówiło się kiedyś „Jeziórany”, po części trafnie klasyfikując w ten sposób skład socjalny lokatorów wzdłuż, które oficjalnie i bezskutecznie usiłowano ochrzcić mianem „słonecznego”. O „Jezióranych” już się nie słyszy, bo „Jeziórany” są wszędzie, a nazwa „Lublin” ma swoją tradycję. Obiektywne procesy społeczne okazują się nieczule na ironiczny komentarz, migracja na linii wieś — miasto jest czymś oczywistym, powszednim.

Piętnaście — dziesięć lat temu na czele wielkomięskich wypraw stał młodzi, za nimi — pieniądze starzejących się rodziców, którzy w zamian za sfinansowanie mieszkania otrzymywali kawalek miejsca do życia pod dachem spółdzielczego domu. Nianęczyli dzieci swych synów i córek, sprzątał pokoje, wystawiali w kolejkach po zakupy. Póki mogli, póki starzało się. A kiedy wypalił się biologicznie, kiedy jedyną racją ich istnienia stał się fakt bycia człowiekiem, zeszedł do roli niefunkcjonalnych przedmiotów. Sa skazani na łaskę dzieci, którym oddali ostatnie pieniądze. Nie mała urawnień do rent, bo pracowali kiedyś na własnej gospodarce. Głodują — zdarza się to wystarczająco często, aby mówić o tym publicznie. „Wolę jednak umrzeć, niż podać własne dziecko do sądu o alimenty”. Ze względów formalnych nie może im pomóc bezpośrednio PKPS: syn i jego żona pracują i nieźle zarabiają, a przecież są to ludzie najbliżsi, żyjący w jednym domu ze starym człowiekiem, zobowiązani prawnie i moralnie do opieki nad nim.

Najczęściej stać ich na zapewnienie takiej opieki, lecz — zdaje się — interesują ich tylko inwestycje opłacalne i materialne. Mieszkańcy przemysłowej dzielnicy miasta za-



Fot. Archiwum

rabiają dobrze, bardzo dobrze, nawet przed barakami stoją samochody właścicieli, w tych nielicznych, ostatnich barakach ryczą telewizory i radia, połyskują „wysokim polyskiem” meble. Ani tam, ani w wieżowcach, ani w punktowcach nie usiłujecie jednak zaglądać do łazienek, nie prosicie o umożliwienie umycia rąk. W wielu łazienkach znajdziecie składy staroci, kilogramy żywności, nie znajdziecie zaś mydła, ręczników, miejsca do mycia. Na ogół jednak kóz i prosaków też nie znajdziecie. Wykorzystanie łazienki jako testu rozwoju kultury życia codziennego, a w konsekwencji — kultury uczuć? No tak, łatwo sprawę uproszczyć, ale czy nie warto bliżej przyrzeć się tym wielokierunkowym powiązaniom, wyznaczającym hierarchię ludzkich wartości?

Do rodzin alkoholików chodzą parami, bo to ludzie krewcy, skłonni do ciężkiego pokarania intruza, który — „jakim to prawem?” — interweniuje w ich domową intymność.

Intymność: matka — pije za to, co zarobi jako sprzątaczką na budowie; ojciec — na razie nie pije, bo sędzi w więzieniu; siedmioro dzieci... Czworko z nich przebywało w domu dziecka, lecz matka odebrała je stamtąd, trzynastoletnią dziewczynkę przyuczącą do prostytucji. „Gdzie jest matka? Pila dziś, schłana jest, a jeśli idzie o zastrzyk, to tam bzdurak leży”.

Od słowa do słowa i pielęgniarka już wie, że w domu odbywają się pijackie libacje z udziałem licznych panów, że za rok, dwa, trzy z tych dzieci pozostaną strzępy moralne. Informuje o tym opiekuna społecznego, który po wywiadzie środowiskowym — z niewiadomych względów opinia pielęgniarki nie jest miarodajna — kieruje sprawę do sądu, który pozbawia matkę praw rodzicielskich, nakazując powrót dzieci do mimo wszystko lepszego domu. Po kilku dniach, podczas jazdy autobusem, pielęgniarka zostaje rozpoznana przez ową trzynastoletnią, która trącając matkę w bok krzyczy, że „ta też była!”

— Co miałam robić? Wsiadłam na następnym przystanku. Całe szczęście, że nie mieszkam w tej dzielnicy... Miałam zresztą lepszą historię, kiedy to trafiłam w pewnym domu na męskie picie, no i panowie, aby zachęcić mnie do uczestnictwa w biesiadzie, zamknęli drzwi wyjściowe. Gdyby nie przypadek, który pozwolił mi uciec, trudno powiedzieć, co by się później działo.

Podejrzewam, że podejmując pracę w środowisku rodzinnym, pielęgniarki nie przypuszczają nawet, w jakie rejony ludzkiego upodlenia, bezduszności i bezradności wchodzi. I jeśli rejony te nie są na tyle szerokie, aby przysłonić czy skazić nurt normalnego życia, w którym choroba lub starość są niebezpieczeństwem mobilizującym pomoc i życzliwość otoczenia, to jednak okazują się znacznie szersze, niż można przypuszczać, spacerując wśród wyniosłej architektury nowoczesnych osiedli, skupionych wokół swego serca — sklepu mięsnego z baleronom i kaszanką, porcjowaną przez panie we wspaniałych perukach à 1300 zł sztuka.

Najwięcej zawodowej i czysto ludzkiej satysfakcji przynosi pielęgniarkom środowiskowym opieka nad małymi dziećmi i osobami samotnymi, choć nie wszystkie życzenia tych ostatnich można zaspokoić. Dotyczy to m. in. odzieży, uzyskiwanej z Polskiego Komitetu Pomocy Społecznej, która — pochodząca z darowizn — jest co nieco znoś-

na i połatana, zawsze przecięć czysta. Ale nawet ci, którzy nie bardzo mają w co się przyodziać, chcieliby otrzymać kiecki czy marynarki możliwe... modne i niecierowane, dopasowane zarazem do własnej figury. Są to jednak życzenia przekraczające możliwości PKPS, który zdany jest na dobrą wolę ofiarodawców i przyjmuje od nich w zasadzie wszystko, co przynioszą. Stąd setki butów damskich na wysokim obcasie i może nawet tysiące rannych pantofli, przy braku bardziej uniwersalnego obuwia. PKPS lubelski należy zresztą do najbardziej w kraju, a apele o pomoc materialną, kierowane pod adresem rad zakładowych i organizacji związkowych, nie przynoszą na ogół spodziewanych rezultatów; Fabryka Wag, wpłacająca roczną składkę w wysokości 5 tys. zł, należy do nielicznych doprawdy wyjątków. Nie popadajmy w demagogię, ale czy w kontekście naszkicowanych rejonów obojętności na ludzkie nieszczęście, rejonów mocno zakorzenionych w lubelskiej glebie społecznej, zjawisko to nie daje do myślenia? Pazerajmy tu tacy na misie, tylko ksobie nastawieni, czy co?

— Dobry człowiek, to człowiek przydatny, zdolny do roboty, to człowiek zdrowy — tę opinię referują wszystkie pielęgniarki, z którymi miałem okazję rozmawiać; skupia ona poglądy wielu odwiedzianych przez nie rodzin. Zapytano kiedyś chłopów z Puszczy Kurpiowskiej, jaka krowa jest piękna. „Ta, która dużo mleka daje i cieli się dobrze”.

— Próby działań wychowawczych, podejmowane przez nas w środowiskach moralnie zaniedbanych, to szyfrowa praca, a przy tym ryzykowna. Pielęgniarka powinna występować z pozycji przy-

jiaciela całej rodziny, ale jeśli ja będę przyjacielem dla żony, to automatycznie jestem wrogiem męża i odwrotnie. Jeśli biorę stronę maltretowanej staruszki, cała reszta rodziny patrzy na mnie wilkiem.

Wiemy: rewolucja społeczna, obyczajowa i światopoglądowa podkopuje stary model rodziny, zakopywa instytucja małżeństwa, a wraz z innymi momentami — zrelatywizowały w praktyce normy moralne. Będzie coraz więcej ludzi samotnych i starych, ludzi potrzebujących pomocy. O tym wiemy i staramy się, przynajmniej ostatnio, znaleźć klucz do tej nowej sytuacji. Warto jednak, abyśmy uświadomili sobie, że będzie ona zaostrzać swój profil, przekształcać się w trwały element życia społecznego, wymagający zintegrowanego systemu regulacji. Obecnie systemu takiego w zasadzie nie ma, nieliczne pielęgniarki środowiskowe (w Lublinie pracują tylko dwie grupy, druga przy obwodzie ul. Żelaznej), siostry pogotowia opiekuńczego PCK, zasłużony PKPS, organa administracji, Liga Kobiet, opiekunowie społeczni — ci przykładowo wymienieni udziałowcy akcji na rzecz ludzi wymagających pomocy, działają właściwie na własną rękę, w najlepszym wypadku zgodnie z dwu — czy trójstronnymi porozumieniami. Bywa więc, że o tej samej godzinie, w tym samym mieszkaniu zjawiają się trzy osoby reprezentujące trzy odrębne instytucje — z ofertą identycznej niemałej pomocy. Bywa, że ktoś bezskutecznie jej oczekuje, bo po prostu nikt nie wie o jego istnieniu.

Podobno jesteśmy jednym z krajów produjących w Europie w dziedzinie zorganizowanej pomocy społecznej, ale wydaje się, że jeszcze lepsza organizacja nikomu nie zaszkodzi.

## Henryk Kozak

Tok to pewne już wywoła nas na poetę cmentarz odartych do ostatniego wiersza i ostatniej metafory całkowicie nagich z kropką krwi na wargach i rakiem który uwił gniazdo nad okiem po lewej stronie czaszki

## Arkadiusz Bożek

na wieży z zegarem nie ma zapomnienia tu są ułożone na setkach regałów jak tomy w starym papierze z tasiemką na krzyż moje wspomnienia i niedokończone zdania a w kulrach z żelazną sztabą chwile co przede mną tutaj siedzę co wieczór z głową na kolanach wsłuchując się w rytm i lek wirowania to mi daje czas a zaniem chwycę klucz aby nakręcić zegar stanie się świat a zanim się stanie będę na nowa nieobliczalny



**Z**ALOBA dzisiaj w Wetlinie, choć nie ma sztandarów ani portretów owiniętych kirem — umarli prości całowiek. Ale wszyscy — nawet histonoz i właścicielka knajpy — twarze mają zamartwiałe, głosy im matowieją, gdy mówią o wypadku.

Wczoraj w lesie „drwała zabiło”. Konar oderwał się od buka, niewielki nawet, nie grubszy niż ręka — i trup na miejscu. Drzewa trzysta lat stały obok siebie, nie dotykając się konarami, zanim przyszedł człowiek, aby je zwałić. I — znalaził śmierć.

Następnego dnia ruszyli do Cisnej, gdzie znajduje się najbliższy cmentarz, dwa „Zuki” z nadleśnictwa. W jednym pojechała trumna, w drugim — rodzina i najbliżsi koledzy. Lech Dąbrowski osierocił żonę i troje dzieci. W Bieszczadach pracował przeszło 10 lat.

Pamiętacie „Bazę ludzi umarłych”? Te szybkie, w milczeniu odbywane pogrzeby, w których tragizm życia ważniejszy był niż śmierć? Coś jednak pozostało jeszcze z tamtej atmosfery — pomimo prawdziwie europejskiej gładkości obwodnicy, miejskich ubrań oraz żalobnej uprzejmości pracowników nadleśnictwa, którzy „z urzędu” biorą udział w pogrzebie.

Mężczyźni dźwignęli trumnę i ponieśli w milczeniu na cmentarz. Twarze mieli nieruchome, jakby nie słyszeli szlochu kobiet. Postawili trumnę na rozkopanej ziemi. Widzę teraz, jak jest kamienista, szorstka, oporna — mężczyźni od rana rozbiłali kilofami zmarznięte bryły.

Kobieta wyrwała się nagle, rzuciła się całym ciałem na trumnę, czepia się jej rozpostartymi ramionami, opiera się, gdy chcą ją oderwać. Mężczyźni głośnie przysięgają teraz ślinę. Zaskrzyliły się wszystkie oczy.

— A jak mnie Niemcy męża zabili... — tłumaczy żonie zmarłego jakaś starsza kobieta, odprowadza ją na bok. — Tu jest las przecież, wielki las... Dzieci musisz wychować, dla dzieci żyć...

Patrzę na góry wokół — pokryte wielkim lasem. Wierzchołki wiekowych buków nikną w chmurach.

Są jeszcze w Bieszczadach trasy, których nie pokona najlepszy kierowca; ciągniki dosłownie stają dęba w potokach, kruszą na głazach gasienice, odpadają ze stromych stoków. Wtedy wyruszają w góry wozacy...

Do tzw. zrywki konnej drzewa nadają się jedynie małe, czarne koniki górskie — zręczne i silne jak maszyny. Tylko wozacy z limanowskiego potrafią sprowadzić ciężkie

# Nie ma miejsca dla niebieskich ptaków

Władysław Huzik

klody potokiem, górkami bezdrożami i drogami zawieszonymi ponad przepaścią. Inni zabijają konie i siebie samych.

Ludzie wychodzą z hotelu na Moczarnem dwie godziny przed świtem, tyle trwa droga z uroczyśką do zrzębu, gdzieś pod szczytem Beskidu, niedaleko czeskiej granicy. Stasiek Bartkiewicz dźwiga na ramieniu piłę motorową, Mietek, jego pomocnik, niesie siekiery i kanistry z paliwem. W parcie torbie: narzędzia, termos z herbatą, konserwa i pół bochenka chleba.

Przytulona do zbocza droga wspina się coraz bardziej stromo, pogłębia się kanion płynącej obok Solinki. Trzeba już teraz wejść w spływający do niej potok — wody do pół kolana, sam lód; ześlizgują się po kamieniach mokre gumki. Świta, gdy dochodzą na miejsce.

Odtąd nie ma już czasu nawet na papierosa, robota sama goni, dnia na nią nie starczy, wracać będą i tak po ciemku. Piła ze zgrzytem wżera się w stuletnie pnie buków. Tryska struga trocin: najpierw podcięcie, nadające kierunek przy upadku, potem wyżej, prawie naokoło, i — odskok. Z łomotem wala się buki, echo długo roznosi się po górach.

W południe przerwa. Podgrzewają nad ogniem konserwę, powoli łamią palcami chleb. Jedzą w milczeniu, nie ma o czym mówić, rozprzone mięśnie kurczą się boleśnie. Bartkiewicz pracuje w kasku. Nie wygodnie, ale może w razie czego — psiakrew! — pomoże.

Znal Dąbrowskiego, no pewnie, jest prawie tak samo długo. Z lubelskiego przyjechał, na ożenek gotówkę odłożył, no i jakoś te lata zeszły; czas by wrócić pomyśleć.

Następne drzewo wali się wprost do potoku, akurat „dobrze ciążyło”. Wozacy nie będą musieli go „zrywać” z lasu, a że oni „wyrybali buka” będą stojąc w gumiakach w

lodowatej wodzie — to nie, jedno licho, w zimę gorzej bywało.

Ryszard Oskarbski pracuje w Bieszczadach już 9 lat, zaczynał od pomocnika kierowcy. Poznałem go w „Berdzie”, knajpie nazwanej tak od pobliskiego szczytu, Hnatowego Berda. Po prostu miał wolny dzień — te ciągniki, przystosowane raczej do rozległych pól, łatwo wykańczają się w górach. Oskarbskiemu znowu nawaliły wahacze, zjechał więc z Moczarnego i postawił grata w warsztacie. Tyrają teraz przy nim mechanicy z Baligrodu.

Brygada nr 11 sanockiego Oddziału Transportu Leśnego uzyskała niedawno tytuł „Socjalistycznej Brygady Pracy”, I lub II miejsce we współzawodnictwie zdobywała często. Sam Oskarbski poblił kiedyś rekord absolutny: zwiózł z lasu w ciągu miesiąca 780 kubików drewna (norma na ciągnik wynosi 200, a i tak nie każdy kierowca potrafi ją wykonać). Ten wynik przeszedł do historii OTL-u. Pracował po 18 godzin, przy świetłach, ale zarobił wtedy 14 tys. zł. Jakiś biurokrata rąbnął mu od razu 10 proc. „za nadmierną eksploatację sprzętu”, nie mógł uwierzyć, że silnik po takiej pracy chodził jak złoto.

Brygada nr 11 to na pewno „baza ludzi żywych”, zwykłych, przeciętnych. Tylko praca pozostała piekielna — jak dawniej. Oskarbski już 7 razy wywrał się z ciągnikiem, raz cudem tylko udało mu się wyskoczyć z kabiny. Miał szczęście, że nie przekoziołkował po stożku.

Kiedyś życie uratowało mu kruche drzewko, cudem utrzymało ciągnik nad przepaścią, dopóki nie ściągnęli go koledzy.

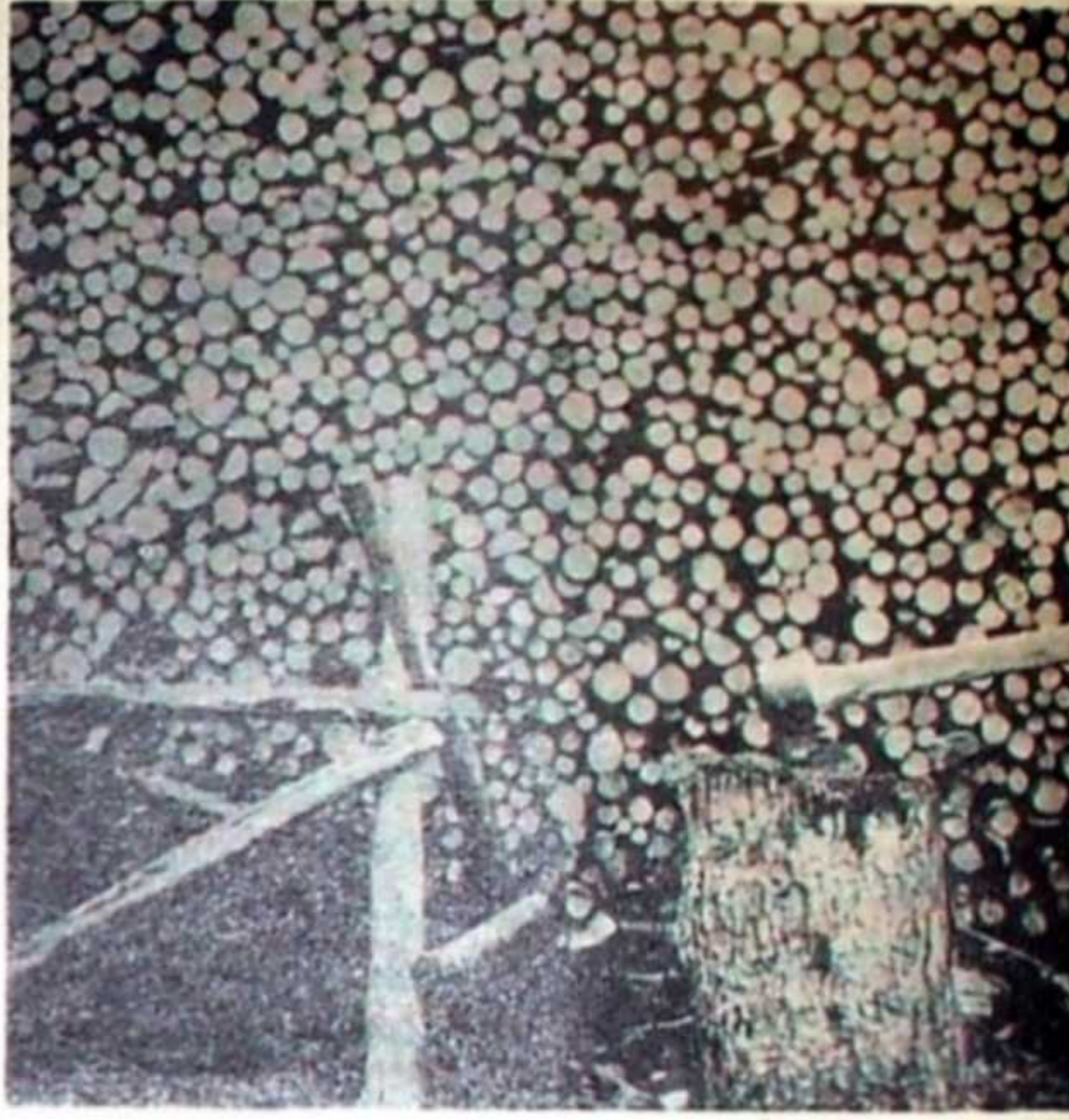
Legends o ściągających z góry usmolonych węglarzach, pijanych góralach i drwalach, którzy opowiadują w dniach wypłat bieszczadzkie knajpy i w pył je roznoszą —

są nieprawdziwe, albo należą do przeszłości. Wódki na całym obszarze Bieszczad nie ma w ogóle, a właścicielka „Berda” porcuje nawet popularnego „jabłoka” — zna dobrze swoich klientów i wie, komu nie można sprzedawać zbyt dużo wina. W porównaniu z tym, co dzieje się pierwszego w wielkich miastach — pijanych widać niewiele.

Ludzie tu już teraz zwyczajni. Przyjeżdżają z przeludnionych terenów brzozowskiego, z okolic Kielc

i Lublina, Przemysła i Limanowej — aby zarobić i wysłać pieniądze rodzinom. Różnego autoramentu niebieskie ptaszki, obiboki wypełniający knajpy, długo warunków bieszczadzkich nie wytrzymują — uciekają, gdzie pieprz rośnie. Nie dają rady pracować w Lesie.

Przesadzone są także legendy o kokosowych zarobkach drwali. Stasiek Bartkiewicz — jeden z najlepszych pilarzy w całym nadleśnictwie — zarabia miesięcznie około 7 tys. zł, ale najgorszemu wrogowi



Fot. Archiwum

## Śladem naszych artykułów Pan inspektor zawitał

**O** BARDZO niewesołym stanie placówek kulturalnych w Lukowie ośmieliłem się kiedyś napisać zgryźliwe wypracowanie na tych łamach. Potem była długa cisza. Ale na wiosnę ubiegłego roku zawitał do Lukowa inspektor pracy z centrali Związku Zawodowego Pracowników Kultury i Sztuki. Zawitał i zlecił zamknięcie jednej z czytelni biblioteki powiatowej, jako że stropy nie wytrzymują. Czytelnia więc zamknięta.

Jesienią inspektor zawitał ponownie i nakazał kapitalny remont PDK oraz orzekł: „Powołując się na treść niniejszego nakazu, wystąpić do kompetentnej instancji zwierzchniej o zapewnienie funduszy na remont pomieszczeń. Niewykonanie zarządzenia niniejszego nakazu spowoduje wstrzymanie pracy w Powiatowym Domu Kultury”. Termin ukończenia remontu — 31 X 1973 r. Okazało się też, że i muzeum regionalne będzie musiało zmienić lokal, kino „Oaza” wymaga remontu i toalety, tylko szkoła muzyczna jeszcze jakoś wytrzyma w swoim drewnianym. Zeby ruszyć te sprawy z tak zwanych posad, trzeba było aś inspektora pracy z Warszawy.

PDK wystawił już zlecenie ośrodkowi Instytutu Techniki Budowlanej w Lublinie na ekspertyzę wytrzymałości stropów. I jeśli się okaże, iż rzeczone nie wytrzymują, to praktycznie trzeba będzie budynek rozobrać do podstaw i postawić nową budowlę na starych fundamentach.

— Dom swój widzę ogromny — powiada Bogusław Ślodziński, kierownik placówki. — Może nareszcie będziemy ośrodkiem instruktorskim

żowo-metodycznym z prawdziwego zdarzenia. Każda gmina miałaby swego instruktora, wyłącznie opiekującego się klubami i zespołami. Może wtedy z 67 zaproszonych z powiatu reżyserów amatorskich zespołów teatralnych nie przybywałoby na szkolenie do nas tylko sześciu wspaniałych. Może przy okazji remontu dostalibyśmy na przykład sprzęt muzyczny i fotograficzny, bo istniejący w większości sięga dziesięciolecia. Nowe pomieszczenia, nowe etaty, nowe wyposażenie...

„Kamena” ośmieliła się kiedyś napisać, inspektor pracy ośmielił się zawitać, czytelnia biblioteki zamknięta, muzeum potrzebuje nowego lokalu, kino remontu i toalety, termin ukończenia remontu PDK wcale nie taki odległy, a remont jeszcze nie rozpoczęty, kierownik Ślodziński dom swój widzi ogromny. I powstaje pytanie, kto jest mocny na to wszystko?

— O waszym powiecie istnieje opinia, że rozwijając rolnictwo i przemysł, zaniedbaliście sprawy kultury — zwracam się do przewodniczącego PPRN w Lukowie, Czesława Czubińskiego, który piastuje swe stanowisko od 24 listopada 1972 roku. Zwracam się trochę prowokacyjnie, bo sam sobie tę „opinię” wymyśliłem.

— Teoretycznie te sprawy powinno się rozwijać równolegle, ale tak już dawniej bywało, że nie na wszystkich starczyło środków. Musieliśmy wybierać. I myślę, że dobrze zrobiliśmy, zaczynając od rolnictwa i przemysłu. Cóż to za powiat posiadający wprawdzie piękny dom kultury, lecz równocześnie ledwie zipsący gospodarstwo? Wpierw aktywizacja gospodarstwa, potem z konieczności kultura...

— Ale jeśli się tej kultury równolegle nie będzie pielęgnować, to ona siłą rzeczy zdziczeje, rozmielni

się w zaścianki subkulturowe — wtrącam uczenie.

— Jesteśmy teraz bogatsi, szczerze mówiąc, mamy od kogo szarpać na kulturę, a to jest już dobrze. Zresztą o jaką kulturę tu idzie? Przecież chodziłoby o to również, żeby były czystość i porządek na wsi, świadomość nowych metod uprawy rolnej, umiejętność korzystania z literatury rolniczej, kultura urzędowania. U nas nie wszędzie z tym dobrze. Dopiero jak wieś rośnie gospodarczo, i to się poprawia, zależność tutaj obustronna, jak choćby świadczy przykład Flukówki, wsi pierwszorzędnej...

— Byłem tam, rzeczywiście zamożna wioska i zamożni ludzie. Tylko oni się właśnie skarżą, że w ich klubie brak stropu.

— Naliczyłem przeszło 40 tych klubów i świetlic, bardzo źle zagospodarowanych. I z tym musimy pójść do przodu od zaraz... A Szaniawa na przykład brudna wieś i od czystości by tam trzeba rozpocząć, nie od fundowania ekstraklubu. Wkraczamy w fazę zmniejszenia i likwidowania dysproporcji między rozwojem rolnictwa i przemysłu a rozwojem kultury w naszym tego słowa znaczeniu. I taka jest nasza polityka jako władz powiatu: nadal aktywizować gospodarstwo teren, ale już więcej dbać o tzw. inwestycje towarzyszące. W samym mieście choćby, czego tu nie trzeba: podjęliśmy budowę hłobka, głównie ze środków Zakładów Mięsnych, mamy dokumentację i plac na pilnie potrzebną budowę drugiego przedszkola, też środki zakładów przede wszystkim, podsuwamy odpowiednim zjednoczeniom kwestie budownictwa mieszkaniowego, bo komunalną i spółdzielczą pięciolatkę w tym zakresie ukończymy już w 1973 roku...

— Lecz baza kultury w węższym sensie? Czy trzeba było aś interwencji prasowej, żeby inspektor przyjechał i pozamykał wam placówki? Czy sami nie byliście mocni rozpatrzeć się w tych sprawach i sami je załatwić?

— Artykuł w gazecie czasem pomaga w rozmowach z władzami wyższymi o środki. Niech to będą środki z różnych źródeł...

— Ale skupione w jednych rękach.

— Właśnie. Zamierzamy spotkać się z odpowiednimi władzami w województwie, żeby omówić środki na remonty zabezpieczające dla biblioteki i PDK. Zresztą Luków się rozwija i potrzeba właścicie nowego PDK oraz kina. Widzę realność zaspokojenia tej potrzeby, sami chcemy wygospodarować coś z nadwyżki budżetowej. Nie wiadomo, czy nie wrócimy do proponowanej kiedyś wersji międzyzakładowego domu kultury w Lukowie. Nie wcześniej jednak niż w latach 1975—1976, kiedy mogłoby to przybrać kształt realny.

— A termin remontu kapitalnego PDK?

— Będziemy rozmawiać z kierownikiem Wydziału Kultury Prezydium WRN. To nie są grosze, ale to są miliony i trzeba sprawę rozważyć potraktować. Zresztą my tymi milionami nie dysponujemy.

Generalnie, choć nie we wszystkim, przekonany przez przewodniczącego, postanawiam w każdym razie zjawić się w Lukowie, jeśli nie wcześniej, to przynajmniej w październiku 1973 roku, żeby zobaczyć, jak też się przedstawia sprawa domu kultury, kina, biblioteki i tak dalej. I zastanawiam się, czy będę musiał szukać mocnych do załatwienia rzeczy, które należało dawniej próbować załatwić.

Maciej Podgórski

„D NI miejscowości” to imprezy, które na stałe weszły w program przedwzrostu zmierzających do kulturalnej aktywizacji województwa. Wprawdzie oficjalne wykazy mówią o roku 1966, jako początkującym taką działalność, ale z czystym sercem można ów początek widzieć w latach wcześniejszych, tyle tylko, że imprezy odbywały się sporadycznie i nie były objęte konkursem. W roku bieżącym mamy więc konkursu tradycje sześćdziesięcioletnia, tradycje tym cenniejsza, że pomysł okazał się fortunny i skupia coraz większe grono uczestników. Mówią o tym liczby. Na początku było 16 miejscowości, obecnie jest

## KSZTAŁT

ich 209. Przełomowym w popularności imprezy stał się rok 1970, kiedy liczba uczestników w stosunku do roku poprzedniego skoczyła na pozycję dwukrotnie wyższą. „Dni miejscowości”. Kiedy mieszkańcy naszego województwa te dwa wyrazy przynosi tytuł w dzienniku, albo echo relacjonowanych wrażeń prywatnych, kojarzą mu się z dwudniowym jubilem obowiązkowo barwnym, ruchliwym i głośnym. Słusznie, tak bywa. Ale niech nie będzie pominięte, że ów jednorazowy pokaz wszystkiego w danej miejscowości najlepszego poprzedzony jest pasmem działań mniej „bajecznie kolorowych”, natomiast przynoszących trwałe pożytki społeczny i gospodarczy. „Dni” na Lubelszczyźnie w ub. r. przebiegały od kwietnia do września, a ich rezultat objawił się w budowie obiektów kulturalnych, zakładaniu trw. zielonych klubów, naprawianiu pól, podnoszeniu estetycznego wyglądu objęt gospodarstwach itp.

Beskiły kto, że niewiele, bo można by zawrócić sobie łuski, ale nowo powstałych zespołów artystycznych, budowę domów zdrowia, formowanie chodników i zakładanie elektrycznego oświetlenia ulicznego we wsiach i to, czego tylko dusza zapagnie. Owszem, zespoły powstają, np. w Piotrkówku, Rechenie, Klekoczewcach, Rudniku i Zaraszewie, a w Perzespole zorganizowani amatorzy teatru po paru miesiącach przygotowań wystąpili z premierą „Wesoła”. Ale nie zapomnijmy, że treść sącej objętych konkursu „Dni” jest nadwyżką w stosunku do prac prowadzonych powszechnie, niezależnie od tego, że ich efekt może znacznie przewyż-



nie życząc takiej katorżniczej pracy. Wyrabiają razem z pomocnikiem 400 proc. normy, ścinają codziennie kilka wiekowych buków.

Wybrałem się w Bieszczady w poszukiwaniu egzotyki. „Reportaż z Dzikiego Kraju”, myślałem, napiszę — może scenariusz do westernu? „Rozczarowałem się.”

Zaraz pierwszego dnia „napadła” na mnie za ten zamiar kierowniczka PTTK-u (inżynier zresztą z wykształcenia, jeden z twórców, jeszcze w czasach studenckich, runu na Bieszczady, zakochana w nich „na śmierć” — nie to, że nie może znaleźć pracy w swoim zawodzie).

— Zrozumcie wreszcie — mówiła z pasją pod adresem wszystkich dziennikarzy, jakich noga tu kiedykolwiek postąpiła, — że żyje tu już normalne społeczeństwo! Przestańcie patrzeć na nas jak na rarogów! I wypadnie chyba zweryfikować legendy, pani kierowniczka ma rację, mimo iż jej właśnie przykład wskazuje, że mówić o „romantyzmie Bieszczadów” jeszcze można. No bo, pomyślcie: młoda, piękna kobieta, sama z małym dzieckiem żyjąca w najdalszym zakątku Polski, o kilka kilometrów od granicy. Jej mąż pracuje w odległości kilkudziesięciu kilometrów, o zatrudnieniu w tym samym przedsiębiorstwie nie ma mowy, tutaj jeszcze inżynierowi w spódnicy nie dozwolają. Kiedy ją zapytałem o to, zamachala niecierpliwie ręką: — Ja to co innego...

Słynny jest w Bieszczadach stary niedźwiedź-samotnik, z tych co to krwi kiedyś zakosztowały i zabijają teraz — dla samej przyjemności zabijania. Kiedyś w noc Barborkową z gór zszedł na Starym Siole, dwie krowy rozszarpał i jeszcze tej samej nocy w Smereku rzeź urządził. Innym razem ze starym pastuchem o owcę się szarpał, góral go po pysku kijem walił, aż wreszcie miś ryknął groźnie, owcę na ramię zarzucił i zniknął w lesie. Zabić go, dopóki się na czołwieka nie porwie — nie wolno.

Jego zdjęcie — w chwili, gdy przechodził przez drogę do Smolnika, tuż obok leśnego osiedla drwali — dała mi na pamięć „Czerwona Jadzina”. Ta sama, o której rozpisywało się kiedyś wszystkie gazety — w pionierskich latach budowy Nowej Huty. „Czerwona Jadzina” przyjechała w Bieszczady po 55 roku, męża sobie znalazła.

— Człowiek tutaj czuje się swobodny — mówi. Tutaj najłatwiej było zacząć od nowa...

W sklepie na Przysłupiu Hania Zubkówna robi tygodniowe zakupy, dala sklepowemu kartkę nagrymo-

loną przez babkę i z przechyloną głową przygląda się jak ładuje do plecaka: pięć kilo cukru, pięć maki, kasza... Sklepowy natężył się, poczerwieniał — nie da rady, le-dwo uniósł wyladowany plecak.

— Ale jak ty to zabierzesz, Hania? Chłopaków przysłij!

— Ceguj?... — pyta Hania, jedną ręką zarzuciwszy plecak na ramię. Przysłupia jest trochę, jak i wtedy, gdy jej powiedziałem, że ślicznie tańczy, spytała: — Ceguj?...

Na zakończenie obrazek może nietypowy, ale do legendy bieszczadzkiej pasujący wymiennie: w knajpie na Przysłupiu bal, jakiego dotąd nie było! Pani leśniczyzna ze Strubowisk (albo leśnicza, jak tutaj mówią) wynalazła gdzieś kapelę cygańską i — grać kazała całą noc! Pani leśniczowa (bo i tak można) z pochodzenia jest lublinianką (wiadomo — lubliniacy ludzie z fantazją), szczerze podziwiam tę kobietę, która z zahukanej urzędniczej przemienila się w zadziorną, z wozakami „wet za wet stojącą”, bieszczadzka farmerka. Kiedy wilki porwały jej rasowe merynosy, specjalnie z Polski centralnej sprowadzone, tylko ręką machnęła i teraz na koniach robi byznes.

Eh, żebyście widzieli, jak walcuje pani leśniczyzna, jakie blaski roztańcza jej balowa, srebrem przetykana suknia! Aż górale — po robocemu ubrani, w gumiakach i wyświechtanych swetrach — żeby rozdziawiają, na zdrowie jabcokiem piją i częstują ją — tutejszym zwyczajem w tę samą szklankę nalawczy — trunkiem może nie najświetniejszym, ale ze szczerego serca...

Aż nagle porwał się Franek Zubek — z tych Zubków, co to milionerami bieszczadzkiemi są podobno, łąki od państwa koło Krywego dźwierżawia, na których spasają owce z całego Podhala, stara babka tam u nich twardą ręką rządzi, głowa rodu — porwał się, ślepemu Cyganowi stówkę do skrzypiec wcisnął i — góralskiego kazali!

Eh! — żebyście widzieli, jak ruszyła w tany 16-letnia Hania Zubkówna — silna jak chłop, i jak chłop od małości pracująca, przez co nawet szkoły podstawowej nie skończyła — jak wiruje skośnie i leciutko, prawie ziemi nie dotykając. Żebyście widzieli, jak podreptuje „góralskiego” Franek — ręce do parzenia, choć nie ma ich na roboczych portkach, przyciskając, jak nagle kuli się do ziemi, pięścią wali — a potem jak fryga wyskakuje aż do sutu!

Aż echo roznośi po górach hukanie obcasami, góralskie pokrząki i przysięwki — tak w tym kraju naturalne i egzotyczne zarazem.

szacę rozmiar przewidywany w działalności niekonkursowej. Np. Biała Podlaska (jedyna z powiatów w województwie) w ub. roku w ogóle w szranki konkursu nie wstąpiła. Czy na samej tej podstawie możemy wydać ujemną opinię o jej przedsiębiorczości, inicjatywie, obywatelskim zaangażowaniu? Nie możemy. I słowa powyższe zostały tu umieszczone nie po to, by się przypodobać gospodarzom powiatu Biała Podlaska, ale by podkreślić dobroczynny charakter konkursu, a przede wszystkim zwrócić uwagę na istnienie pewnych zjawisk nie dających się dokładnie wymierzyć, szczególnie gdy zjawiska te leżą w dziedzinie kultury.

Jednakże nadanie formy organizacyjnej pewnemu zespołowi działań przynosi ewidentną korzyść. Turnieje wsi, konkurs w rozprowadzaniu nawozów sztucznych, organizowanie czynów społecznych — to wszystko niezależnie od tego, że

## AMBIICJI

wynika z potrzeby, dodatkowo pociąga od strony „sportowej”. Miło jest zwyciężać. Tak więc „Dni” w obecnej formule organizacyjnej się utrwaliły i wszystko wskazuje na to, że lata przyszłe wzbogacą pulę pomysłów i powiększą teren współzawodnictwa, natomiast nie zmienia kierunku zamierzeń.

O co bowiem chodzi: o podniesienie, o podwyższenie, o wydobycie ze społecznego potencjału danej miejscowości tych treści, które w niej tkwią rzeczywiście, ale tylko potencjalnie. Można powiedzieć, że znaleźliśmy fortunny doping, że położyliśmy pas startowy dla lokalnych — w najlepszym znaczeniu tego słowa — ambicji. Jest bowiem tak, że osiągnięte wartości wchodzą w dorobek województwa nie anonimowo, ale z wizytówką miejscowości, w której zostały wypracowane i zaproponowane do podjęcia miejscowościom innym. Kto ma pomysł, ten ma *ródełkę* otwierająca magazyn nie wypróbowanej jeszcze inicjatywy. I w krótkim czasie w oświeconym, przemyślanym i otwieranym dobrze, że bierze udział tyle miejscowości naszego województwa.

Nie bez kozery został tu użyty przymiłek od „Sport”. Zespołowość tego działania ma coś wspólnego ze sportem. W drużynie piłki nożnej każdy zawodnik może dla siebie stanowić klasę, ale jeśli nie ma zgrania, to znaczy zespołowego porozumienia co do metod ataku, sposobów przeprowadzania akcji, w przeciwnym razie wysiłek kolektyny i

Jednostek. „Dni” mają wynikać ze zgrania. I zgranie to na użytek wszelkich czynności wytwarzać. Nie znaczy, że ściśle w tym postulat wzmożenia samych wysiłków. Nie. Z innej okazji o tym może być mowa. I niejednokrotnie bywa, że dłoń pod wpływem samych okoliczności mocniej ścisła narzędzie. Ale zgranie kolektyny to zwiększony efekt przy tym samym nakładzie pracy, a więc zysk na czysto. Im więcej będziemy mieli takich ćwiczeń, tym łatwiej przeprowadzamy szturm na poręcz przypiętego rozwoju naszego województwa.

Rok ubiegły na rzecz jasnego spojrzenia w perspektywę tych spraw dorzucił swoje argumenty. 23 miejscowości zostały uznane za czołowe i wyróżnione nagrodą pieniężną w wysokości 5000 zł każda. 44 osoby otrzymały nagrody indywidualne za szczególne zaangażowanie w realizację programu „Dni”. Wszystkie powiatowe komitety organizacyjne zostały uznane za posiadające znaczne zasługi na polu propagowania i przeprowadzania idei konkursu. Człowiecze — cześć!

Na wojewódzkim podsumowaniu „Dni miejscowości” padły również rozstrzygnięcia w konkursie „Na najlepszy wiejski klub kultury w roku 1972”. W decyzji postanowiono miejsce nie punktować, lecz przedujące kluby podzielić na dwie grupy: nagrodzonych i wyróżnionych. I tak w grupie pierwszej znalazły się 22 kluby: „Ruch” i „Rolnika” w grupie drugiej — 11. Tytuł „najlepszego gospodarza klubu” wraz z nagrodą pieniężną przyznano 4 osobom (Zofia Ostapiuk z Zelizna, Eugenia Rozwałka ze Starej Wsi, Danuta Samoszek z Miedzylesia Podlaskiego, Janina Soszka z Rozkopaczewa), a tytuł „najlepszej rady społecznej” zdobyły rady z Debowej Kłody, Kuliśca, Łaszczowa i Zokiewki. Ponadto aż 69 działaczy rad społecznych otrzymało nagrody pieniężne.

Co się mówi w uzasadnieniach werdyktów sędziowskich i nagród? Ze praca kulturalno-oświatowa w województwie prowadzona jest głównie siłami amatorów i że pieniądze uzyskane w nagrodach zespołowych zachęca się wydać na zakup sprzętu. Można powiedzieć, że uchwycono w ten sposób dwie fundamentalne prawdy dotyczące działalności wiejskich klubów kultury: ofiarności ludzi i niewystarczalność sprzętu. Odnosi się to zresztą nie tylko do klubów. Mamy jednak wrażenie, że sytuacja ta już zaczyna ewoluować ku stanowi pomysłniejszemu, a nowy podział administracyjny wraz z faktem zdecydowania budowy gminnych ośrodków kultury z pewnością doda tu swoje argumenty. Zatem — dobrego startu w nowy rok, a w nim ujrzymy, na ile prognoza kultury dla południowo-wschodniego obszaru Polski zostanie potwierdzona przez rzeczywistość.

Z. M.



Fot. Archiwum

## TRYBUNA MŁODYCH i o młodych

### „Pożyjesz, zobaczysz”?

JESTEM czterdzielką 25-letnim, więc czasów bezpośrednio powojennych nie pamiętam. O ile wiem, to nigdy dotąd nie powiedziano młodzieży tak wyraźnie i tak konkretnie, że jest faktycznym i ważnym partnerem w budowie Polski. W Teżach przyjętych na VII Plenum KC Partii postawiono sprawę jasno, bez zwyczajowych ozdobi-ków: czekają nas takie, a takie zadania, bez was nie będziemy w stanie ich zrealizować, poczujcie się jeszcze bardziej odpowiedzialni za rozwój naszego kraju.

Wydaje mi się jednak, że to nie tylko od nas zależy. Skończyłem szkołę zawodową, pracuję przy to-karce w dużym zakładzie pracy. Może i nie mam tego doświadczenia zawodowego i ludzkiego, co starsi, ale mam, tak mi się wydaje, coś innego, a mianowicie potrafię dostrzec pewne sprawy, które innym wymykają się z pola widzenia. Tak przywykli do tego, co jest, że nie wyobrażają sobie innej sytuacji. Mówię np. do majstra, że gdyby w innej linii ustawili tokarki, zwiększyłoby się bezpieczeństwo pracy i chyba nawet wydajność, bo byłby łatwiejszy dostęp do maszyn. A ten uśmiecha się i mówi: „Młody jesteś, co ty tam wiesz, pożyjesz, zobaczysz”. Stosując się do zaleceń majstra, na pewno przeżyję spokojnie sporo lat, ale ja wcale tego nie chcę. Nie dlatego, że ktoś zlekceważył moje uwagi i to mnie boli, ale dlatego, że stanie w miejscu, stosowanie tych samych metod

produkcyjnych odbije się w końcu na mojej kieszeni, na stopie życiowej moich najbliższych. Postęp techniczny nie polega tylko na wdrażaniu wielkich pomysłów i rozwiązań, ale jest także sumą nawet drobnych usprawnień.

Chodzi mi o to, żeby organizacje partyjne i młodzieżowe, działające w zakładach pracy, stworzyły odpowiedni klimat wokół młodzieży, żeby starsza część załogi brała nas na serio. Wiem, takie apele o klimat niewiele przynoszą, wszystko ostatecznie zależy od dobrej woli poszczególnych ludzi. Ale w tej chwili, mając w ręku dokument VII Plenum, będzie chyba można postawić sprawę jednoznacznie i na konkretnej podstawie. Wiele w tym wypadku zależy od odwagi i inicjatywy działaczy ZMS. A z tym nie jest najlepiej, organizacja nie zawsze potrafi głębiej wejść w środowisko pracy, tym samym nie ma należnego autorytetu.

Inna sprawa, a właściwie postulat. Mieszkam w spółdzielczym osiedlu mieszkaniowym, skupiającym ok. 15 tysięcy ludzi, w tym wyjątkowo dużo dzieci i młodzieży, o których wszyscy zapomnieli: zarząd spółdzielni i architekci. Dzieci szwendają się po zaniedbanych placach zabaw bez urządzeń, z nudów niszczą trawniki i krzewy. Młodzież ucieka z osiedla, bo tu nie ma co robić, jedyny klub osiedlowy zajmuje niewielkie pomieszczenie i nie ciekawego w nim się nie dzieje. Nie ma żadnych urządzeń sportowych, choć jest sporo miejsca na urządzenie boiska.

Jeśli już rzeczywiście nie można rozwiązać tego problemu normalnym trybem, począwszy od etapu projektowania osiedla do jego zagospodarowania, proponuję utworzenie młodzieżowych ekip, które by zajęły się tą sprawą. Proponuję coś w rodzaju młodzieżowego patronatu nad rekreacyjno-sportową sferą osiedli mieszkaniowych Lublina. Chodziłoby przede wszystkim o dzielnice we wschodniej części miasta, a więc Tatary i Kalinowszczyznę, na terenie których znajdują się osiedla spółdzielni „Motor” i „Kolejarz”.

Widzę to w ten sposób, że organizacje ZMS po nawiązaniu kontaktu z zarządami tych spółdzielni i z Dzielnicowymi Komitetami Frontu Jedności Narodu opracują plan działania, za którego realizację uczynią odpowiedzialnymi członków swojego aktywu. Warto by też wciągnąć do pracy ZHP. Plan miałby charakter długofalowy, nie kończyłby się jednorazową akcją, bo to do niczego dobrego nie prowadzi. Widzę w nim takie elementy: wydzielenie odpowiednich terenów sportowo-rekreacyjnych (każda spółdzielnia dysponuje odpowiednią rezerwą), następnie — konkretna robota z łopata w dłoni, na koniec — ustanowienie kontroli nad tak powstałym majątkiem, kontroli społecznej, złożonej z ludzi młodych, zamieszkujących w danym osiedlu. Może zresztą kontrola taka okazałaby się z czasem zbędna, ostatecznie, jeśli ktoś coś zrobi własnymi rękami, nie ma później skłonności do niszczenia tego dorobku. Chciałbym podkreślić, że rzecz jest realna, bo nie chodzi o jakies duże nakłady inwestycyjne, ale o uporządkowanie terenu, a ładna spółdzielnia nie zbiednieje, fundując swoim mieszkańcom np. słupy do siatkówki.

Nad całością prac mógłby czuwać Zarząd Miejski ZMS. Jestem przekonany, że chętnych do roboty nie zabraknie. Wszystko zależy, jak się do sprawy podzieje.

Marian Konieczny  
Lublin

#### WYRÓZNIENIA

### Rozstrzygnięcie konkursu na reportaż o Lubelszczyźnie

plynęła”; Stefan Kozieki, Warszawa, za „Tylko tanio umierać”; Henryk Pajak, Lublin, za „Kamień węgielny pod węgiel kamienny”.

#### III NAGRODY

Mieczysław Olbromski, Warszawa, za „Za dużo szczęścia”; Wiesława Grochola, Warszawa, za „Jutro zaczęło się wczoraj”; Stanisław Harasimiuk, Lublin, za „Druga zmiana”; Mieczysław Olbromski, Warszawa, za „Kłopoty z ożenkiem chłopo-robotnika”.

Marian Fijolek, Słupsk, za „Narodziny”; Antoni Walentyń, Tomaszów Lubelski, za „Lubycki rap-sod”; Zenon Borkowski, Warszawa, za „Spętanie żywołów”; Anna Rak, Ożarów Mazowiecki, za „Garbarska społeczność”; Marian Bekajło, Warszawa, za „Powrót do początku”; Andrzej Wieluński i Marek Zewieki, Warszawa, za „Antyfona o je-siennym zmierzchu”; Stanisław Harasimiuk, Lublin, za „Bebe”; Mieczysław Pisarek, Warszawa, za „W sielskim krajobrazie”; Wojciech Pielecki, Warszawa, za „Album panna Karola”.

Rozdanie nagród odbyło się w Wojewódzkim Domu Kultury w Lublinie 21 grudnia ub. roku.

Kamena str. 5



**W. Skrzydło:** — Oba Grudnie dały nam konkretny program, akcentujący nowoczesność. To jest bardzo odczuwalne w dziedzinie kształcenia specjalisty-człowieka, a jest przecież rzeczą niezwykle ważną jak nowoczesnie będzie pracował on sam i jaką pomoc krajowi w każdym sensie nowoczesności da całe środowisko naukowe. Program w tym zakresie wprawdzie był i dawniej, ale nakreślony trochę na ślepo i teoretycznie. Nowoczesność nie była wyraźnie zaakcentowana, ponadto nam, naukowcom, brak było partnera: rozwiązania czy propozycje wychodzące z zakładów i laboratoriów naukowych nie zawsze znajdowały odbiorcę, który chciałby je zastosować. A nikomu nie chce się pracować do szuflady!

W tej chwili odczuwa się wyraźne dążenie, więcej — apel, aby nauka świadczyła na rzecz rozwoju gospodarczego i kulturalnego kraju, a równocześnie widać oddziaływanie pracowników naukowych. Liczba ważnych tematów, podejmowanych przez pracowników nauki, a także przez studentów — i to jest ten nowoczesny sposób kształcenia, że już w czasie studiów uczestniczy się w sprawach ważnych dla gospodarki krajowej — szybko wzrasta, rosną też nakłady na badania. Na większe efekty trzeba będzie jeszcze poczekać, ale już notuje się większą liczbę zgłoszeń patentowych.

Sprawa nie mniej ważna to kształcenie młodego człowieka, który podejmie te zwiększone badania. Dotychczas zajmowaliśmy się głównie pomocą dla studenta słabego, przeciętnego. Stworzyło to kult przeciętności, trójki, czyli tzw. stopnia państwowego, a więc kultu minimalizmu. To odpowiadało ówemu równie szkodliwemu powiedzeniu o rzekomo należących się dwu tysiącach.

Z tym niebezpiecznym kultem przeciętności musimy skończyć. U wielu studentów już widać zmianę w ich stosunkach do obowiązków, jakie podjęli, z drugiej strony my będziemy stawiali ambitniejsze zadania i zajmowali się przede wszystkim bardziej uzdolnionymi studentami, którzy mogą przynieść narodowi większe korzyści. Dzisiaj możemy już przygotowywać indywidualne programy nauczania i dać dyplom wcześniej niż to wynika ze schematu, jeżeli student na to zasługuje. To jest ważny moment w kształceniu świadomości studenta i przygotowaniu go do życia.

**R. Wiśniewski:** — Na podstawie szacunku wyników całorocznych, sporządzonych przez WUS w oparciu o wykonanie planów za 11 miesięcy, można stwierdzić ogromne przyspieszenie dynamiki rozwoju województwa we wszystkich dziedzinach gospodarki, zwłaszcza w produkcji rolniczej i przemysłowej oraz w budownictwie. A zjawiskiem najbardziej pozytywnym jest kompleksowe działanie całej gospodarki dla polepszenia warunków życiowych ludności, co następowało przy znacznie zwiększonej aktywności społecznej.

Produkcja przemysłowa w 1972 r. jest wyższa o ponad 18 proc. niż w roku poprzednim — to bardzo wysoki wzrost, szczególnie zanotowany w Lublinie, Zamościu i Chełmie. Specjalnie aktywizującym czynnikiem był przemysł terenowy. Ogólny plan sprzedaży produkcji i usług osiągnął nie notowaną dotąd dynamikę wzrostu: w roku 1971



J. Dechnik

przekroczenie o 4 proc., w 1972 o szacunkowo 4,5 proc. Wartość produkcji w roku ostatnim będzie o około 2 mld zł wyższa niż to wynikało z wycinka planu pięcioletniego, a to znaczy, że około 70 proc. planowanego przyrostu produkcji przemysłowej za rok 1973 zostało już osiągniętych. Aktualne zobowiązania do banku 20 miliardów wynoszą w województwie 1,2



L. Gnot

proc., co znaczy, że my wprawdzie wydłużyliśmy krok, ale cały kraj (przebiegnie) jeszcze bardziej. Wskaźnik wydajności pracy jest u nas wciąż znacznie niższy od krajowego. W tych dwóch latach nie wykorzystaliśmy 70 mln zł inwestycyjnych, co oznacza brak 12 żłobków po 80 miejsc, albo 16 przedszkoli po 120 miejsc, albo 1750 izb mieszkalnych. W sumie



A. Kędziór

postaci emigracji do innych województw. Myślę, że przyczyna tkwi m. in. w niewłaściwym przekroju szkolnictwa zawodowego u nas. Nastawiliśmy się kiedyś na zasadnicze szkoły metalowe, nie mając możliwości zatrudnienia absolwentów. To rzuciło na inny ujemny objaw w naszym województwie: spadek przyrostu naturalnego, w niektórych powiatach katastrofal-



Z. Łapacz

Po VI Zjeździe liczba przepisów zmniejsza się, stają się one coraz bardziej kompleksowe, wreszcie mamy także jasny program jak i gdzie pójdzie budownictwo. Poza mieszkaniem szczególną uwagę zwrócono na budownictwo rolnicze, zwłaszcza na budowę dużych ferm o charakterze przemysłowym — tuczarni świń na 36 tys. stanowisk rocznie, bukiarni po 3

## DWA LATA PO VII PLENUM

mld zł, a wykonane zostaną w 1973, czyli rynek otrzyma dodatkowo wyroby wartości 16 mln zł. Podkreślić też trzeba, że w minionych dwóch latach przemysł stworzył około 9 tys. nowych miejsc pracy.

Drugim ważnym czynnikiem jest wysokie tempo wzrostu produkcji rolniczej, w ostatnich dwóch latach o 3,8 mld zł. A więc znów nie notowana dotąd dynamika wzrostu. W tych samych latach przyrost pogłowia trzody chlewnej wyniósł tylko w gospodarce indywidualnej ponad 230 tys. sztuk, a więc 34 proc. ponad stan z 1970 roku, wzrost większy niż w okresie 26 lat. Wszystkie powiaty dały rekordowe plony zbóż, a całe województwo prawie 24 q/ha.

Dzięki pomyślnej realizacji planów budownictwa mieszkaniowego dość istotnej poprawie uległy także warunki bytowe ludności. W latach 1971—1972 wybudowaliśmy w gospodarce społecznej 33 tys. izb mieszkalnych o powierzchni 460 tys. m kwadr. W tym samym czasie na inwestycje przeznaczono 25 mld zł, w tym w gospodarce społecznej 19 mld zł — w pierwszym roku o 711 mln zł ponad plan, w drugim o ponad 800 mln zł. Nastąpiła więc duża aktywizacja inwestycyjna województwa.

Nie można jednak powiedzieć, że mamy jedynie sukcesy. Ujawniły się bowiem także zjawiska negatywne, jak nie wystarczające jeszcze zaopatrzenie w niektóre artykuły, zwłaszcza w mięso i pewne wędliny. Ogólnokrajowa dynamika wzrostu produkcji przemysłowej była jednak wyższa niż nasze 18

szybki postęp jest widoczny, ale czeka nas jeszcze dużo pracy, aby zlikwidować zjawiska ujemne.

**S. Zgrzywa:** — Myślę, że nie można pominąć takiego czynnika jak integracja społeczeństwa wokół wytycznych VI i VII Plenum KC PZPR jak i VI Zjazdu. Warto tu przypomnieć słowa tow. Gierka o konieczności szerszego włączenia do naszego życia ludzi zaangażowanych, partyjnych i bezpartyjnych, z dużym akcentem właśnie na bezpartyjnych. Poprzednio szczególnie w polityce kadrowej człowiek młody, energiczny, zdolny, ale bezpartyjny często nie mógł znaleźć dla siebie szansy startu, możliwości działania, chociaż jego odczucia, jego przywiązanie do budownictwa socjalistycznego było jak najbardziej pozytywne. Obecnie widzenie wszystkich ludzi we wspólnym froncie stało się jednym z głównych motorów naszych osiągnięć. Trudno bowiem sobie wyobrazić te osiągnięcia bez czynnika emocjonalnego, a jedynie przy działaniu bodźców ekonomicznych.

Tradycje czynów społecznych znalazły u nas szerokie prawa obywatelskie, zwłaszcza w budownictwie dróg, których sieć wciąż jest niewystarczająca. Decyduje o tym nie tylko obiektywna potrzeba gospodarza tych dróg, ale również chęć wyjścia ludzi z opłotków, nawiązania bezpośredniego kontaktu z szerszym niż gmina czy nawet powiat terenem. Przybywa nam co roku około 300 km dróg lokalnych, a powiat biłgorajski jest tu wzorem dla wielu innych.

Zjawiskiem w jakimś sensie chyba ujemnym jest to, że co roku Lubelszczyzna traci około 5 tys. młodych, wykształconych ludzi, w

ny. Tradycyjnie większy przyrost dawała wieś, a teraz właśnie miasto. Obserwujemy szybkie starzenie się wsi. Ostatnio byłem w powiecie zamojskim. 5550 gospodarstw rolnych jest tam kierowanych przez ludzi w wieku ponad 60 lat życia.

Dużymi osiągnięciami ekonomicznymi województwa nie możemy się zachwycić. Czekają nas jeszcze ambitniejsze, trudniejsze zadania i to już w bieżącej pięcioletce. Trzeba więc mówić prawdę i o braku, bo bez ich zwalczania tych zadań nie wykonamy. Możliwości są ogromne — efekty będą zależały od ludzi.

**W. Skrzydło:** — Przez długi czas nie mieliśmy obrazu, jakie miejsce w kraju zajmuje nasze województwo. Kilkumiesięczna praca komisji ekspertów, pracującej nad koncepcją rozwoju województwa, aby określić kierunki działania, musiała najpierw odpowiedzieć na to właśnie pytanie. Mówię to w kontekście dzisiejszego posiedzenia Egzekutywy KW w Puławach. Towarzysze z Puław byli zapatrzeni tylko we własne podwórko. Ich osiągnięcia w skali powiatu i w porównaniu z przeszłością tego powiatu są duże. Ale w porównaniu z innymi powiatami okazuje się, że w rolnictwie powiat puławski ma duże zalety, chociaż ma wszelkie szanse, aby być w czołówce.

**M. Wojtas:** — Każdym większym wydarzeniem w Polsce towarzyszy proces inwestycyjny. A był on m. in. bardzo obciążony przez przepisy wydawane w różnych resortach, często sprzeczne ze sobą.

tys. stanowisk, taką właśnie zaczynamy na Lubelszczyźnie. W ślad za fabrykami domów zaczynamy budować fabryki budynków inwentarskich, które pozwolą znacznie skrócić cykl inwestycyjny.

Dyr. Wiśniewski mówił o niewykorzystaniu wszystkich środków inwestycyjnych. Prawda. Ale wcale nie najmniejszym tego powodem jest fakt, że samo budownictwo lubelskie jest niedoinwestowane. W Zjednoczeniu Budownictwa Rolniczego mamy 2,2 konia mechanicznego na pracownika, natomiast przeciętnie w kraju 3,2 KM, a w województwach poznańskim czy bydgoskim nawet powyżej 4 KM. I jak długo będzie nam brakowało środków produkcji, tak długo będziemy się ciągnąć w ognie procesów inwestycyjnych. Ale mimo to buduje się u nas dużo. Proszę pojechać chociażby wzdłuż Bugu — w Ułhówku, Machnowie czy Halasach można zobaczyć zupełnie nowe osiedla. To już nie jest taka wieś, jaką widzimy pod Lublinem.

Nie bez znaczenia jest fakt, że po VI Zjeździe podnosi się wielokierunkowo rangę zawodu budowlanego rzeczywiście na miarę zadań, jakie przed nim stoją. Majstrów, brygadziści, ładowacze uzyskali lepsze warunki, przygotowali się dalsze zmiany. Chyba więc kadra przestanie uciekać z budownictwa, a nasze szkoły nie będą gromadziły w większości tych, którzy nie dostali się do innych szkół. Uzyskaliśmy wreszcie to, że 60 proc. mieszkań wybudowanych ponad plan przydziela się budowlanym. To mobilizuje.

## Piękny druk dziewiętnastowieczny

Halina Wolska



Kamena str. 6

**J**EST w Lublinie, pomiędzy ulicą Filaretów a osiedlem Piastowskim, niewielka ulica nazwana imieniem Leona Urmowskiego. Chyba jednak niewielu przechodzących tą ulicą zna to nazwisko i wie, kim był Urmowski.

Bracia Ugnowscy, Klemens i Leon, związani byli ściśle z Lublinem i jego życiem kulturalnym. Pochodzili ze Lwowa, w naszym mieście osiedli po roku 1809. Starszy, Klemens (1780—1827), pełnił funkcję sędziego Trybunału Cywilnego Departamentu Lubelskiego. W późniejszym okresie, już po wyjeździe do Warszawy, był prokuratorem generalnym Królestwa Polskiego, profesorem Uniwersytetu Warszawskiego, członkiem Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Jako człowiek odznaczał się szerokim umysłem i różnorodnymi zainteresowaniami. W stosunku do

młodszego brata troskliwy i opiekuńczy, w miarę swych możliwości pomagał mu materialnie, dbał o jego zdrowie, a po jego śmierci starał się o zabezpieczenie pozostałych po nim pamiętek.

O Leonie Urmowskim wiemy nieco więcej, mimo że wiele spraw z jego życia i twórczości nie zostało jeszcze wyjaśnionych. Jest to zaśluga artykułu H. Łopacińskiego, opublikowanego i uzupełnionego przez H. Zwolakiewicza w książce zbiorowej: „Hieronim Łopaciński i Biblioteka jego imienia w Lublinie 1907—1957” (Lublin 1957) i publikacji M. Adrianek: „Z dziejów lubelskiej grafiki. W sto pięćdziesiątą siódmą rocznicę śmierci Leona Urmowskiego” (Annales UMCS s. F. T. 23 (24)).

Zycie młodszego z braci Urmowskich, porucznika inżynierii wojsk Księstwa Warszawskiego, było krótkie, lecz bogate i barwne. Po ukończeniu Szkoły Elementarnej Arty-

lerii i Inżynierów w Warszawie pracował w Sztapie Generalnym, prawdopodobnie jako topograf. Brał udział w kampanii 1812 roku jako adiutant Sztabu Głównego w 17 dywizji, dowodzonej przez Jana Henryka Dąbrowskiego. Podczas bitwy narodów pod Lipskiem dostał się do niewoli. W roku 1814 znalazł się z powrotem w Lublinie, gdzie przebywał z krótką przerwą aż do śmierci. Umarł na gruźlicę płuc 13 grudnia 1814 roku, przeżywszy 20 lat.

Leon Urmowski był rysownikiem i grafikiem, obdarzonym nieprzeciętnym talentem, co zgodnie stwierdzają wszyscy, którzy go znali. Niestety, na systematyczne studia nie miał czasu, a przedwczesna śmierć nie pozwoliła na wykorzystanie jego możliwości. Prace Urmowskiego znajdują się obecnie w Muzeach Narodowych w Warszawie i Krakowie, niektóre u osób prywatnych. Największy zbiór,

znajdujący się w Bibliotece Uniwersyteckiej w Warszawie, zaginął w czasie ostatniej wojny. Tematy prac Urmowskiego związane są głównie z Lublinem (dwie wersje Zamku, Brama Krakowska, widok z okolic Lublina), a także z kampanią 1812 roku (Gen. Henryk Dąbrowski z adiutantem, Pikieta polska).

Należałoby jeszcze wspomnieć o Janie Karolu Pruskim. W początkach XIX wieku osoba Pruskiego znajdowała się w centrum życia kulturalnego i wydawniczego Lublina. Pruski był wydawcą i drukarzem. Przybył do Lublina z Siedlec, gdzie był właścicielem drukarni. W naszym mieście początkowo dzierżawił drukarnię rządową, w r. 1813 założył własną. Był twórcą pierwszych czasopism, które ukazywały się w Lublinie — „Dziennik Ekonomiczny i Polityczny Lubelski” i „Pamiętnik Gospodarczy i Naukowy Lubelski”. Oba te





W. Skrzydło



R. Wiśniewski



S. Witkowska



M. Wojtas



S. Zgrzywa

Fot. CAF — M. Polski

Dzisiaj zameldowaliśmy o przedterminowym wykonaniu planu rocznego, co jest wynikiem zaangażowania naszych załóg, o czym mówił tow. Zgrzywa. Myślę, że każdy, kto zajmuje kierownicze stanowisko, powinien skupić wokół siebie ludzi najbardziej zaangażowanych, emocjonalnie wciągniętych w realizację zadań. My na przyszły rok przyjęliśmy zadania o

niejsze, że te wnioski są realizowane. To daje tak ważne poczucie rzeczywistego współzrządzenia zakładem pracy.

Wyniki? W roku 1971 zdobyliśmy pierwsze miejsce we współzawodnictwie w całym przemyśle maszynowym i daliśmy 206 mln zł dodatkowej produkcji. W roku 1972 mamy ponad 220 mln zł, w tym 1500 „Zuków”. Zwiększona wyda-

laży się sprawy socjalno-bytowe. Ogniwa związkowe często nekowały dyrekcje zakładów, zmuszając je najpierw do opracowania odpowiednich programów poprawy tych warunków, a następnie przez systematyczną kontrolę do ich realizacji. Trzeba podkreślić, że wnioski robotników w tych sprawach nie były tylko konsumpcyjne: dajcie, zróbcie. Często towarzyszyły im

rzucają nam np., że za bardzo wyręczamy Ministerstwo Kultury i Sztuki. No ale jeżeli ogniwa tego resortu nie działają jeszcze należycie, to czy można pozostawić sprawy własnemu biegowi?

Głos: — Dosyć to pozytywne zarzuty!

R. Wiśniewski: — Z robotnikami trzeba rozmawiać nie w sali konferencyjnej, a przy ich stanowi-

tuacja prawna jak i możliwości działania rad narodowych były coraz bardziej ograniczane. Zapoczątkowaliśmy tu już wielkie zmiany. GRN-y nie były żadnym partnerem dla działających na ich terenie przedsiębiorstw czy instytucji, ograniczały się do rejestrowania tego, co one zrobiły — lub czego nie zrobiły i na tym koniec. A w ogóle w dawnym układzie administracja była nastawiona głównie na obsługę prawną obywateli, nie wywiązując się zbyt dobrze z tego zadania. Teraz jej funkcją będzie organizatorska praca w stosunku do całej ekonomiki regionu. W tych ramach stwarza się określone, konkretne uprawnienia koordynacyjne.

Ostatecznie jednak problem sprowadza się do ludzi. Trzeba przełamać stare nawyki i dobrać taką kadrę, która w pełni zrozumie intencje przemian, jakim musi ulec administracja, a która swymi kwalifikacjami zapewni ich sprawna realizację. W związku z tym pokazna część kadr została wymieniona. Dotychczas np. 93 proc. przewodniczących GRN-ów posiadało tylko wykształcenie podstawowe, a teraz już 35 proc. naczelników gmin posiada wykształcenie wyższe (rolnicze, ekonomiczne lub prawne), od referentów wymaga się przynajmniej wykształcenia średniego.

Alte konieczna jest również zmiana sposobu myślenia. Np. jeden z kierowników wydziału handlu zachwycał się, że roczny plan usług Eldomu został wykonany w ciągu 9 miesięcy. Nie przyszło mu jednak do głowy, że klient narzeka, bo naprawa łódki wydłużyła się z tygodnia do dwóch. Trzeba również w podległych radom przedsiębiorstwach, i nie tylko w tych, przełamać tendencje do zaniżania planów, aby je potem znacznie przekraczać i chwalić się oraz korzystać materialnie z rzekomego sukcesu.

W radach narodowych przeprowadzone zostały rozmowy z każdym pracownikiem, co i jak na swoim konkretnym stanowisku chce on i może wykonać dla realizacji uchwał VI Zjazdu. Zaden pracownik nie może już zasłaniać się kierownikiem, bo on sam jest odpowiedzialny. To już daje jakieś efekty. W roku 1970 na podstawie analizy skarg i zażaleń okazało się, że aż 51 proc. spraw w pierwszej instancji zostało źle załatwionych. Teraz procent ten spadł do 37 — jest to jeszcze bardzo dużo, ale przecież znacznie lepiej.

Alte to jest dopiero początek, przed nami jeszcze ogrom pracy.

# ROK PO VI ZJEZDZIE

22 proc. wyższe niż w roku bieżącym i to chyba ma swoją wymowę. Ale dostaliśmy i odpowiednie środki.

J. Dostatni: — Czy w budownictwie odczuwa się decentralizację w podejmowaniu decyzji?

M. Wojtas: — Jest duży postęp. Otrzymujemy już tylko dwa podstawowe wskaźniki: limit funduszu płac i poziomu kosztów. Dzięki karcie dyrektora mamy w zjednoczeniach znacznie większą swobodę działania, podległe nam przedsiębiorstwa chyba także. Chociaż w przedsiębiorstwach są większe ograniczenia, bo one chętnie przyjmują budowy z grupy B, łatwiejsze i często bardziej opłacalne, a my musimy gbać o sprawy ważne dla całej gospodarki, nie tylko dla finansów jednego przedsiębiorstwa.

A. Kędzior: — Bardzo ważna jest w całym kraju i w naszej FSC zmiana atmosfery. Wypływa to z konkretnej perspektywy wzrostu stopy życiowej, co już często widać namacalnie, także z realizującą się już perspektywą rozwiązania problemu mieszkaniowego. Załoga widzi realne konsekwencje listu Sekretariatu KC w sprawie polepszenia warunków socjalnych — u nas zrobiono w tej dziedzinie bardzo wiele, powołano specjalny pion dyrektorski, który na bieżąco czuwa w tej dziedzinie. Wszystko to wpłynęło na zwiększenie się aktywności społecznej i zawodowej załogi. Zmniejszyła się liczba skarg i anonimów, jest więcej konkretnych wniosków ulepszenia pracy i jej warunków, a najważ-

ność pracy przyniosła załozde tylko w ostatnim kwartale wypłaty wyższe o 5 mln zł. Nasze samopoczucie wzmacniają także perspektywy rozwojowe fabryki — w roku 1980 wyprodukujemy 75 tys. samochodów dostawczych wysokiej klasy.

Załoga FSC jest dumna ze swoich osiągnięć. Ale wie, że trzeba zrobić jeszcze więcej, a nie chce stracić przodujące miejsca, więc można oczekiwać dalszego zwiększenia jej aktywności i dobrej roboty.

S. Witkowska: Związki zawodowe nie posiadały nigdy dotąd tak przychylnego klimatu dla swojej działalności. Mogliśmy podjąć intensywniejszą i skuteczniejszą działalność. VI Zjazd podniósł wysoko rangę związków zawodowych. Nastąpiła u nas zasadnicza zmiana stylu i metod pracy, co uwidacznia się głównie w bezpośredniej na co dzień współpracy wszystkich instancji związkowych z członkami. Np. w marcu WKZZ zorganizowała wyjazdowe posiedzenie w Zamocisku w oparciu o wizytację 24 zakładów. Kompleksowo zanalizowaliśmy działalność związkową w realizacji naszej podstawowej zasady o jedności spraw produkcji, bytu i wychowania — nie teoretycznie, a na przykładzie powiatów białskiego, Janowskiego i lukowskiego. Podobnie działają zarządy okręgów wobec rad zakładowych. Znacznie pomaga nam to, że mamy obecnie i liczniejszy i lepszy aktyw związkowy.

Po VII i VIII Plenum partii oraz po VII Kongresie i plenarnych posiedzeniach CRZZ na naczelnym miejscu w naszym działaniu zna-

konkretne wskazania, jak je załatwić i to we własnym zakresie. W rezultacie w ciągu 2 lat zrobiono tu więcej niż poprzednio w ciągu 26 lat.

Alte niepokoi nas bezpieczeństwo i higiena pracy. Wypadków jest więcej mimo zwiększenia nakładów. To rzutuje ujemnie na samopoczucie ludzi i na wyniki produkcyjne. Musimy w tej dziedzinie podjąć jeszcze energiczniejsze i bardziej kompleksowe działania.

Sprawom produkcji poświęcamy bardzo dużo uwagi, chodzi nam głównie o dyscyplinę pracy i jakość pracy. Chcemy przekonać wszystkich związkowców, że od realizacji planów gospodarczych, od wypracowanych wyników zależy poprawa warunków bytu i pracy. Obok współzawodnictwa i racjonalizacji od września razem ze „Sztandarem Ludu” organizujemy festyny dla ludzi dobrej roboty. To są nie tylko koncerty, ale działalność polityczna, danie zasłużonej satysfakcji ludziom dobrze pracującym i to ludziom wybranym przez same załogi. Popieramy szkolenie i dokształcanie, mamy porozumienia z uczelniami i ZMS, uruchomiliśmy technikum mechaniczne dla produkujących robotników.

J. Dostatni: — Czy wyeliminowano już dawne nawyki w formie zastępowania administracji przez związki zawodowe?

S. Witkowska: — Chyba wciąż jeszcze za bardzo zastępujemy administrację, bo uważamy że tam, gdzie dzieje się źle lub nie się nie dzieje, powinny działać związki. Musimy jeszcze dopracować się właściwej współpracy. Za-

czasopisma nie utrzymały się długo. Z powodu braku prenumeratorów i współpracowników zostały dość szybko zawieszona.

Wspomnianym w tytule pięknym drukiem dziewiętnastowiecznym był „Almanach Lubelski na rok 1815 dla Amatorów Literatury Ojczyzny”, rezultat współpracy Urmowskich i Pruskiego. Klemens Urmowski go redagował, Leon ilustrował, Pruski drukował. Jest to jeden z ładniejszych lubelskich druków dziewiętnastowiecznych, a na pewno najładniejszy, jaki wyszedł z drukarni Pruskiego.

Niewielka, 135-stronicowa książeczka drukowana jest ładną czcionką na papierze ręcznie czerpanym, z dobrze rozmieszczoną na stronicy kolumną druku i prawidłowymi proporcjami marginesów. Mimo że opuściła drukarnię po roku 1800, ma wszelkie cechy starodruku. Poza papierem wskazywałby na to dawny sposób numerowania arkuszy oraz użycie tzw. kustoszy, czyli drukowanie przy końcu strony trzech pierwszych liter strony następnej, co ułatwiałoby drukarzowi składanie tekstu, a czytelnikowi czytanie.

Almanach ozdobiony jest grafikami Leona Urmowskiego. Obok strony tytułowej umieszczony jest

miedzioryt „Ruiny zamku Firlejów w Dąbrowicy pod Lublinem” (zamek ten był w owym czasie własnością rodziny Lingenaus, teściów Klemensa). Na rycinie widzimy dwie baszty, resztkę murów, dookoła ruin krajobraz wiejski i kilka postaci ludzkich na pierwszym planie. Pod tytułem znajduje się winieta przedstawiająca projekt pomnika ks. Józefa Poniatowskiego nad brzegami Elstery. Klemens Urmowski w przedmowie wspomina, że brat przygotowywał jeszcze inne prace dla ozdobienia Almanachu, ale nagle pogorszenie się stanu zdrowia (Leon chorował od paru lat) stanęło mu na przeszkodzie. Z dat wynika, że Leon zmarł w 3 dni po dniu datującym przedmowę. Zresztą tylko część nakładu posiada winieta przedstawiająca projekt pomnika. Winieta na innych egzemplarzach przedstawia niezidentyfikowany zamek z basztami i mostem nad fosą, wykonany prawdopodobnie inną techniką graficzną.

Na treść Almanachu składają się: wspomniana już przedmowa redaktora będąca równocześnie spisem zawartości, kalendarium, Opis Historyczno-Malarski Departamentu Lubelskiego, pióra Kazimierza Puchaly — „obywatela powiatu kraśnickiego”, zawierający opisy Lubli-

na i innych miejscowości (najwięcej miejsca po Lublinie poświęcono Puławom). Następnie mamy wiadomość o życiu Józefa Sygierta (młodo zmarły poeta, przyjaciel Klemensa Urmowskiego) oraz jego tłumaczenia Tyrteusza, lacińskich wierszy Janickiego, dumy Osjana, trzech wierszy Pope'a oraz fragment „Myśli o przyjaźni” pióra tegoż Józefa Sygierta. Potem drukowane są dwa wiersze podpisane „z dzieł Gesnera”, które według Urmowskiego „przydatkiem są Męza, Uczonego z powołania zaszczytnego w Szkole Departamentowej Lubelskiej Profesora, którego za usługi literackie jedynie skromność mu właściwa ukryć stara się”. Następują po nich dwa wiersze: „Oda na przybycie Wojska Polskiego dnia 8 września 1814” pióra pułkownika Morawskiego i „Elegia z powodu wprowadzenia zwłok X. Józefa Poniatowskiego przez Wojsko Narodowe wracające do Ojczyzny” Kanterburego Tymowskiego.

Almanach kończy wiersz pt. „Rozwally” Kazimierza Puchaly, do którego ilustracją jest sztych Leona „Ruiny zamku w Dąbrowicy”. Sztych miał być umieszczony przy wierszu, z niewiadomych powodów został przeniesiony na stronę przedtytułową. Być może stało

się tak dlatego, że ilustrator nie zdążył już wykonać innych zaplanowanych prac, przeznaczonych dla Almanachu.

Dzisiaj Almanach stanowi cenny zabytek, ilustrujący rozwój kultury w dziewiętnastowiecznym Lublinie.

Kilka zachowanych egzemplarzy przechowywane są w największych polskich bibliotekach. Dwa z nich znajdują się tam, gdzie został opracowany i wydrukowany — w Lublinie, w Bibliotece im. H. Łopacińskiego.



Ruiny zamku Firlejów w Dąbrowicy pod Lublinem.



**N**IESPELNA dwa lata temu zaczęłam pewną recenzję trochę nietypowo, od opisu scenografa, albowiem ta była też nietypowa: za projektowaną do sztuki o stylu „pinterowskim”, a jakby naturalistycznym. Z potrąceniem wzroku paru „zyciowych” szczegółów, co właśnie wprowadzało w klimat nowoczesności. Od tego czasu zdążyłam wręcz nabrac przekonania, że opis scenarii obowiązkowych przedstawień powinien ustawicznie znajdować się na pierwszym planie relacji. Oprawa sceniczna to przecie nie tylko opus scenografa, lecz i bilet wizytowy inscenizatora, pierwszy kontakt jego zamysłu z wrażliwością widza. Sądząc więc, iż dobrze uczynili ci krytycy, którzy omawiając „Sen nocy letniej” w interpretacji Petera Brooka, przyjęli za punkt wyjścia dokładny obraz miejsca działania scenicznego. Tym bardziej dobrze, ponieważ w danym wypadku całkiem znikoma liczba miłośników teatru dostąpiła w Warszawie zaszczytu oglądania spektaklu jednego z najświetniejszych dziś odnowicielei sztuki teatralnej.

Popularność prasy warszawskiej zwała mnie z potrzeby wysiłków „deskryptorskich”, wystarczy przypomnieć choćby recenzję Romana Szydłowskiego w „Trybunie Ludu” z 1.XII r. ub. Chciałabym natomiast zaszyfrować niejaką zbieżność wyglądu sceny w „Snie nocy letniej” przywiezionym przez The Royal Shakespeare Company, a tymże zaprezentowanym nam wcześniej przez krakowski Stary Teatr.

I tu, i tam suprema bieli: u gości — oświetlający biały „pawilon”, złożony ze sztywnych segmentów, ożywiony jedną początkowo płamą barwną: ściągającym wzywać i w dół czerwonym łóżem-gniazdkiem z quasi piór strusich, u krakowian — obicie sceny i proscenium bielusińskim płótnem, na podłodze zaś klomb jaskrawo zielonej murawy do harców leśnych.

Obydwa spektakle powstawały w r. 1970 prawie jednocześnie. Nie znam ścisłej kolejności dat, mniejsza o nią, nie sugeruję przecie, jakoby scenograf Petera Brooka, Sally Jacobs, „podpatrzyła” to czy owo u Krystyny Zachwatowicz lub vice versa. Chodzi mi o coś całkiem innego, o fakt, który mogą potwierdzić urzędy patentowe, a mianowicie, że pomysły uderzająco podobne do siebie, niekiedy nawet bliźniacze, powstają coraz częściej symultanicznie w różnych punktach globu ziemskiego. Zresztą w teatrze, jak gdzie indziej, procesy myślowe upodobniają się dzisiaj dzięki wzmoczonej aktywności „publikatorów” (swoją drogą cóż za szkaradny nowotwór słowny!), no i wskutek generalnego eksportu-importu artystycznego. Anglicy, Francuzi, Amerykanie używają nam inwencji Petera Brooka, Planchona, Barraulta, Bread and Puppet Company, my eksportujemy Grotowskiego i in.

Tedy faktura formalna przedstawienia The Royal Shakespeare Company, zademonstrowana ostatnio w Warszawie, nie spowodowała „an sich” żadnego u nas szoku, mogliśmy bez trudu rozłożyć ją na znane nam skądinąd elementy. Frapujące okazało się zastosowanie

tejpiona tama w sobie, wartość jej zarządza się na wartości dzieł, które ją wspierają. (Jean Leymarie)

Owe proste i jasne prawdy pomagają mi nieraz skutecznie bronić się przed naciskiem snobizmu proklamującego każdą odmienność jako kwalifikację. Toteż nie

Kontynuując zamarkowane wyżej zestawienie z krakowskim spektaklem „Snu nocy letniej”, w inscenizacji Konrada Swinarskiego, nie sposób przede wszystkim nie dostrzec, że podczas gdy Swinarski wyrugował z „desek” zbędnie akcesoria po to, by skoncentrować uwagę widza na szekspirowskim duchu dzieła, stratfordzcy ogolocili scenę dla perwersyjnego przeciwstawienia recytowanemu in extenso tekstowi — działali absolutnie jego ducha niweczających. Tendencja ta znalazła u nich wyraz m. in. w kostiumach: niewątpliwie celne od strony kompozycji plastycznej, są

„sation est agreable”. Ołóż istotnie „rydykuloznych” pozycji w omawianym „Snie” było „mnożstwo za bardzo”, co zaś do „sensacji” — pozostały wątpliwość.

Na pewno jednak kontakty z Grotowskim nie przemieniły dla zespołu Petera Brooka bez śladu w zakresie pracy nad ekspresją ciała aktora, nad szczytowym rozwojem jego możliwości w działaniach fizycznych. Metoda Grotowskiego, skołorzona może z wpływami cyrku chińskiego, wydała tu fenomenalne owoce. W tym sensie można uznać aktorów The Royal Shakespeare Company za istnych wirtuozów. Ich ewolucje na trapezach były zdumiewające, pewne błyskawiczne „wdrapanie się” Hermii na ścianę, zda się, obalało prawo powszechnego ciężenia.

W ogóle, niezależnie od paru moich krytycznych uwag, mam duże uznanie dla sprawności zespołu wykonującego koncepcję Petera Brooka, z którą wolno dyskutować pod warunkiem przyznania jej zarazem nienagannej konsekwencji i przebogatej pomysłowości. Moc w niej sytuacji bardzo oryginalnych i ładnych. Świetną jest np. metafora zaplątanie się Hermii w spiralech drutów. Przemienienie się Tezeusza w Oberona (Alan Howard), Hipolity w Tytanie (Gemma Jones), Egeusza w Pigwę (Philip Locke), mistrza ceremonii Filostrata w inicjatora figlów magicznych Puka (Robert Lloyd) — wzmacnia myśl o „rozdwojeniu” jaźni ludzkiej. Oprócz wymienionych artystów, również znakomici byli w swych rolach: Zhivilla Roche (Hermia), Jennie Stoller (Helena), Philip Sayer (Lyzander), David Meyer (Demetriusz), Barry Stanton (Spodek), George Sweeney (Dudka), Richard Moore (Głodniak), Malcolm Rennie (Ryjek), Hugh Keays Byrne (Spój) oraz zwinne Elfy: Patricia Doyle, Anthony Meyer, Pauline Munro, Roshan Seth.

Tak wymienionej dykcji, jaką mogą się poszczycić ci aktorzy, dawno nie słyszałam. Dostrzegam w niej specjalną troskę o to, by każde zdanie zostało dostrzymane i zrozumiane bodaj przez widza znającego choć trochę język angielski. Nie na darmo zespół jeździł po sukcesy do wielu krajów europejskich i poza Europę.

Nie pominiemy też nazwisk perkusistów Tony McVeya i Robina Weatheralla, a także Johna Zaradina (gitara). Muzyka Richarda Peaslee nasyca spektakl akcentami parodystycznymi (m. in. doskonała finałowa deformacja melodii Marsza Wesełnego Mendelssohna).

Interesujące jest zakończenie: chwila zadumy i uściski dłoni widzów.

Publiczność się bawi totalnie — nie tylko przedstawieniem trupy Pigwy czy płochością Tytania. Peter Brook przeznaczył swój „Sen” obłądco dla publiczności, której poczucie humoru pozostaje na poziomie masowego widza elżbietańskiego.

Opracowanie scenariusza ekspozycji polskiej zostało pracownikowi Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie, pisarzowi Tomaszowi Juraszowi.

W czerwcu 1972 r. budowa dworku została zakończona i można było przystąpić do urządzania ekspozycji.

2 grudnia 1972 roku pierwszy zabytek lubelskiego parku etnograficznego udostępniony został do zwiedzania. Czy to szybko czy wolno? Dla dobrze wykonanej pracy i to pracy prowadzonej bez przerwy wśród piętrzących się trudności, dla pracy właściwie pionierskiej — w każdym aspekcie — to bardzo szybko. Dla tych, którzy ten proces obserwowali z zewnątrz, dla nieznanających licznych skomplikowanych uwarunkowań — to bardzo wolno.

A jak jest faktycznie? W cytowanym na wstępie wystąpieniu dyrektor Jan Górak stwierdził: „Pierwsze obiekty chcemy przekazać do ekspozycji już w roku 1972. Byłby to dworek Pola z ulicy Łęczyńskiej (dawnie) tzw. Firlejowszczyzna... W roku 1972 przypada setna rocznica śmierci poety...” Mimo więc ogromnych, przewidywanych i niespodzianych trudności, dworek Pola udostępniono w ścisłe zaplanowanym terminie. Jest to niewątpliwym sukcesem organizatorów.

Lubelski skansen przewiduje się jako żywe, czynne muzeum, jako placówkę naukowo-dydaktyczną. Dobrze, że myśli ta realizowana jest od samego początku. Nie zadowolono się zatem samym przeniesieniem dworu, ale, związane z nim także określoną funkcję i to funkcję szczególnie dobrze dobraną.

Wincenty Pol, urodzony w Lublinie w domu przy ul. Grodzkiej 7, był przecież nie tylko poetą, pedagogiem, profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego, ale i wybitnym znawcą i badaczem kultury ludowej. Dla społeczeństwa lubelskiego postacią jego była szczególnie bliska. Tym można tłumaczyć ofiarność, dzięki której z dobrowolnych składek wykupiono dawny dwór Polów od przypadkowych właścicieli i ofiarowano go poecie. Był to właśnie ten przeniesiony dworek, w którym dziś jest wystawa jego imienia.

# „Sen” na trapezach

Maria Bechcycz-Rudnicka

wanie jej do tekstu „Snu nocy letniej”.

Ostatnimi czasy cytuję nieustannie dwa sformułowania, które przyswoiłam sobie po wielu rozterkach, a stały się nieomal głównymi członami mego credo w odniesieniu do sztuki różnego autoramentu. Oto one:

1. W sztuce nie ma postępu, są tylko dokonania. (Krzysztof Miklaszewski, potem Szajna, czy odwrotnie?)

2. Żadna formuła artystyczna nie może być usprawiedliwiona ani po-

kryje, że z niemalą dozą rezerwy przyjął spektakl Szekspirowski pokazany w Warszawie przez grupę objazdową znakomitego teatru Petera Brooka. Nie widziałam, niestety, jego zademonstrowanego u nas gościnnie „Króla Leara”, ale jakimże „mocnym uderzeniem” stał się dla mnie „Tytus Andronikus” z lat pięćdziesiątych, odkrywczo prawdziwy w swym okrucieństwie! Obecny zawód był siłą rzeczy proporcjonalny do ówczesnego zachwy-

w gruncie rzeczy znikąd, z „nowhere”. Zaprojektowany natomiast przez Stary Teatr staropolski przyodziełek postaci daje w ogólnym kontekście inscenizacji nowoczesny konkretny, swego rodzaju odskocznik do aktualnych aluzji lokalnych.

Twórca „Snu nocy letniej” był wspaniałym człowiekiem Renesansu, rozkochanym w świeżo przywróconej światu kulturze antycznej, w rodzimym folklorze łącznie z przyrodą, którą wielił na sposób „panteistyczny”, akceptując ją w pełni jej wybijającej zmysłowości. Przy więcej niż dobrej woli mogę przyznać, że nowy zespół Petera Brooka chce przekazać widzowi Szekspirowską (rzec można — „pre-Joyce’owską”) wiedzę o dwoistości natury ludzkiej, o podświadomych dążeniach łatwo wymykających się spod kontroli trzewnego rozsądku. Ale w sumie inscenizacja traktuje problem ze zbyt obiektywną ironią, bez krzyku rozkosznej, natchnionej żywiołowości, która porrywa w oryginale.

Na konferencji prasowej z okazji gościnnych występów The Royal Shakespeare Company niezbyt dyskretnie przypierano gości do muru pytaniami o wpływ Grotowskiego. Gdyby spotkanie z zespołem zorganizowało się po spektaklu, odpowiedź niejedno nieporozumienie. Na miły Bóg, przecie aseptyczny pod względem emocjonalnym „Sen nocy letniej” Petera Brooka jest kompletnym kontrastem egzaltowanych, frenetycznych „misteriów” Teatru Laboratorium! Nawet wizualnie obciążona są podane przez stratfordczyków tak zabawnie, że erotyzm doszczętnie się ułatnia. Mimo woli przypomina się przedwojenna anegdota o Angliku, który będąc pytany przez Francuzów, jakie ma zdanie w sprawie zbliżenia seksualnego, odpowiada: „La position est ridicule, mais la sens-



Występy gościnne The Royal Shakespeare Company w Warszawie. William Szekspir: „Sen nocy letniej”. Fot. A. Urbanek

**D**ZIEN drugiego grudnia 1972 r. zapisze się na trwałe w kalendarzu lubelskiej kultury. Tego dnia bowiem, w setną rocznicę śmierci Wincentego Pola, odbyło się przekazanie społeczeństwu pierwszego obiektu w skansenie w Lublinie — dworku Pola.

Przypomnienie historii przeniesienia tego zabytku z ulicy Łęczyńskiej na Kalinowszczyznę uświadomiło złożoność problemów, które wynikają przy tego rodzaju przedsięwzięciach. I choć okoliczności, które towarzyszyły przeniesieniu dworku Pola nie powtarzają się w takim układzie w żadnym innym zabytku, wiadomo, że każdy następny przysporzy nie mniej kłopotów.

Gdy w 1970 roku rozpoczęło działalność w Lublinie Muzeum Wsi Lubelskiej, powołane na podstawie uchwały Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej, było to zamknięciem pewnego nielatwego etapu prac przygotowawczych i organizacyjnych, a wejściem w okres nowy, również skomplikowany. Nikt nie ludził się, że dalsze prace przebiegać będą bez trudności.

Mimo to wizja lubelskiego parku etnograficznego, nakreślona przez jego dyrektora dr. Jana Góraka na naradzie aktywów muzealnych, która odbyła się jesienią 1970 r. na zamku w Lublinie, tętniła optymizmem. Uczestniczący w obradach przedstawiciel Wydziału Kultury KC PZPR prof. Antoni Lyżwański nie zawahał się nazwać tej wizji „wielkim marzeniem jej autora”.

Wzniesienie pierwszego obiektu w lubelskim skansenie i prowadzone równoległe prace nad jego dalszym zagospodarowaniem dowiodły, że istotnie nielatwego zadania podjęło się grono entuzjastów zabytków ludowej kultury Lubelszczyzny.

Patrząc dziś na stojący i urządzony dworek Pola, na jego już wrośniętą w otoczenie stylową bryłę, na zebrane pieczołowicie pamiętki i dokumenty po autorze „Pieśni o

ziemi naszej” nie można zapomnieć, że to wyniki wieloletnich, zmużnych wysiłków i zabiegów.

Pierwsze pertraktacje o zabranie dworku Pola z terenu przy ul. Łęczyńskiej, zwanego „Firlejowszczyzną”, rozpoczęto jeszcze w 1953 roku, a więc prawie dwadzieścia lat temu. Plac, na którym stał wówczas dwór, należał do Fabryki Gwoździ i Łańcuchów, a zabytkowy budynek przyskadzał w planowanej, prawidłowej adaptacji tego terenu i dotychczasowego zakładu dla potrzeb Lubelskich Fabryk Wag.

Wysunęto więc propozycję przeniesienia dworku Pola w inne miejsce. Ponieważ jednak Biuro Studiów i Projektów Drobnej Wytwarzalności „Drob-

na Inne miejsce, ale w granicach terenu należącego do fabryki.

Od decyzji tej Lubelskie Fabryki Wag zostały natychmiast odwołane. Dalszy los dworu byłby więc wyraźnie zagrożony, gdyby nie to, że właśnie w tym samym czasie przesadzono powołanie w Lublinie Muzeum Wsi Lubelskiej.

15 sierpnia 1958 r. uzyskano w Wydziale Budownictwa, Urbanistyki i Architektury Prezydium MRN lokalizację szczegółową skansenu na Kalinowszczyźnie, a 19 marca 1959 r. podjęta została odpowiednia uchwała Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej, powołująca nową placówkę muzealną.

W tej sytuacji Wojewódzki Konserwator Zabytków — w przeddzień podjęcia uchwały przez PWRN — zdecydował o przeniesieniu dworku Pola do

tektury PMRN, wylana została lokalizacja szczegółowa dworku Pola na Kalinowszczyźnie. W oparciu o ten dokument można było kontynuować sprawy wyłączeniowe, a jednocześnie ubiegać się o zezwolenie wejścia na budowę oraz wzwąć właścicieli i użytkowników prowizorycznej zabudowy, istniejącej na parceli przy ul. Kalinowszczyzna 21, do opuszczenia placu.

Wydział Kultury PWRN wystąpił nadto do Ministerstwa Kultury i Sztuki o zatwierdzenie wniosku do Urzędu Spraw Wewnętrznych o niezwłoczne zajęcie nieruchomości przy

## Jak odżywa zabytek

Alicja Kurzątkowska

ul. Kalinowszczyzna 21 i w dniu 16 września 1969 roku zgodę taką uzyskał.

W końcu 1969 r. zaistniała sytuacja, w której dokonanie demontażu dworu stało się konieczne. Po odwołaniu wykonania tych prac przez Oddział Lubelski Pracowni Konserwacji Zabytków, przeprowadziły je we własnym zakresie Lubelskie Fabryki Wag, pokrywając również całość związanych z tym wydatków. Rozbiórka zabytku odbyła się z zachowaniem wszelkich wymogów konserwatorskich i przy zapewnieniu odpowiedniego, fachowego nadzoru. Elementy dworu, do czasu znalezienia wykonywcy dalszych prac konserwatorskich, złożone zostały w magazynie na terenie Lubelskich Fabryk Wag.

W początku 1971 r. Pracownicy Konserwacji Zabytków w Lublinie przyjęli zlecenie i przystąpili do prac nad odbudową dworu. Koszt montażu pokrył Wojewódzki Konserwator Zabytków ze środków uzyskanych w Zarządzie Muzeum i Ochrony Zabytków.

Jednocześnie z kontynuowaniem prac nad odbudową zabytku, zespół pracowników Muzeum Wsi Lubelskiej kompletował zbiory po Polu. Przewidywanym zakończeniem była wielka ilość autentycznych dokumentów, które się zachowały i które udało się zgromadzić: rękopisy, listy, ryciny, fotografie, różnych drobniactw i rzecho-

projekt” w Warszawie, sporządzając projekt wstępny nowej fabryki, zakładano wyłącznie możliwość budowy kopii dworku, zgodną na jego przeniesienie nie została wydana.

„Ale problem pozostał — dał znać o sobie w początkach lat sześćdziesiątych. Wtedy to od zmiany usytuowania dworku Pola uzależniona została dalsza rozbudowa Lubelskich Fabryk Wag. Tym razem, wnioskiem z dnia 11 września 1962 roku, Fabryki Wag wystąpiły o wyrażenie zgody na rozbiórkę zabytkowego budynku. Rozpoczęły się długotrwałe pertraktacje i działania, mające na celu uratowanie i działania, uwiecznione pełnym powołaniem.

Gdy Lubelskie Fabryki Wag przedłożyły potrzebne — dla nadania biegu sprawie — orzeczenia konstrukcyjne i mykologiczne, Wojewódzki Konserwator Zabytków przeprowadził szczegółowe oględziny dworu połączone z przebadaniem stanu jego zachowania i określeniem wartości artystycznej oraz zarządził sporządzenia dokumentacji naukowo-historycznej obiektu, a także jego pomiarowej inwentaryzacji konserwatorskiej. Wykonały je, w latach 1966—1967, Pracownicy Konserwacji Zabytków w Warszawie na zlecenie Lubelskich Fabryk Wag.

Ponieważ dworek Pola był zamieszkiwany przez trzy rodziny, właściciel zabytku, występując o jego rozbiórkę, wzmógł — prowadzone od 1963 roku — starania o wykwaterowanie lokatorów. Opróżnienie dworu ułatwiło wprowadzenie prowadzenia koniecznych prac pomiarowych i leżało w dalszych planach konserwatorskich, ale wówczas mogło się również opuszczeniu i dewastacji obiektu.

15 stycznia 1968 r. Wojewódzki Konserwator Zabytków wydał decyzję nakazującą utrzymanie dworku Pola, dopuszczając możliwość przesunięcia go

skansenu. Zaraz potem, 28 marca, skierował do Pracowni Konserwacji Zabytków w Lublinie zlecenie na przeprowadzenie prac konserwatorskich w tym zabytku; jego rozbiórkę, przeniesienie na ul. Kalinowszczyznę oraz zlecenie.

Translokacja dworku Pola nie została jednak jeszcze wówczas dokonana. Zjawili się następne trudności.

Lokalizacja tego obiektu na terenie skansenu nie mogła być przypadkowa. Wydział Budownictwa, Urbanistyki i Architektury Prezydium MRN w Lublinie dnia 26 maja 1969 r. wydał jedynie lokalizację tymczasową dworu, uzależniając wydanie lokalizacji stałej od zatwierdzenia projektu szczegółowego zagospodarowania całego terenu lubelskiego parku etnograficznego, na którym przewidziano ustawienie około 60 obiektów zabytkowych. Także Pracowni Konserwacji Zabytków na zlecenie Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków odpowiedziały odmownie.

Trzeba więc było kontynuować dalsze zabiegi i to szybko. Zmuszają do tego ponaglenia ze strony Lubelskich Fabryk Wag, które były związane terminami uruchomienia inwestycji. Obok starań o uzyskanie lokalizacji oraz znalezienie odpowiedniego wykonawcy robót dużo energii poświęcono sprawie wyłączeniowej. Nieruchomość, na której miał stanąć dworek Pola, należała aż do pięciu współwłaścicieli i nielato było z nimi dojść do porozumienia. Poza tym Miejska Pracownia Geodezyjna uwarunkowała wykonanie koniecznego dla wszczęcia postępowania wyłączeniowego rejestru pomiarowego od dostarczenia lokalizacji szczegółowej dworu.

Dnia 2 czerwca 1969 roku, dzięki przychylnemu stanowisku Wydziału Budownictwa, Urbanistyki i Archi-



**N**IC się jej nie mogło stać — Filip niecierpliwie wrzusa ramionami. — Zna tu całą okolicę jak własną kieszeń.

Wydała się obrażony, że śmiem mu cokolwiek wyrzucać; chce być obrażony, ale czuję, że jest równie niespokojny jak ja. Nie może usiedzieć na miejscu, ucieka oczami przed moim wzrokiem, chwilami odnoszę wrażenie, że coś przede mną ukrywa.

Skróciłem dziś pobyt na morzu, powróciłem wcześniej, a z sercem w gardle stwierdziwszy, że Dżulietta wciąż nie ma, raz jeszcze pojechałem do miasteczka. Ani śladu, ani punktu zaczepienia — w domu dziadków mieszkają obcy ludzie, tylko obcy ludzie na ulicach.

— Była z tobą w mieście — upieram się. — Wczoraj wieczorem była z tobą.

— Nie była ze mną.

— To skąd wiesz, że tam była? Wczoraj w nocy mówiła że była.

— Widziałem ją z daleka — mówi Filip i wychodzi na taras. Jest to dostateczna odległość, bym nie widział jego twarzy, ale nie dość, bym mógł go posadzić o ucieczkę.

Ruszać jednak za nim. Zatrzymuję się obok i tak jak on spoglądam w zamyśleniu w stronę zatoki, gdzie za chwilę powinien pojawić się kuter z profesorem Vergą. Trzeba mu będzie tę sprawę przedstawić, trzeba się będzie z nim naradzić, co można, a co należy czynić dalej. Konieczność, zaraz jak tylko przyplynie.

Nie czuję się najlepiej. Może to noc nieprzespana i napięta, może za długo siedziałem pod wodą, a może ciśnienie spadło gwałtownie, bo od zachodu horyzont szczyła, przedwcześnie zgasił słońce, a na Monte Santo zsunęła się czapa gęstych obłoków. Stwierdziłem to, zerknąwszy w bok, z niejaką ulgą, jakby nie chcąc się przyznać, że to, co mi najbardziej ciąży, jest poczuciem winy...

— Słuchaj, Filip — odzywam się cicho, — bardzo chciałbym, żebyś zrozumiał, że nie jest to czas na zabawę w chowanego. Czy ja lubisz, czy nie, odpowiadamy za nią razem i nie możemy dopuścić, żeby jej się coś złego stało. Musimy spokojnie i poważnie zastanowić się nad wszystkim po kolei: od chwili, w której wyszła z domu, do chwili, w której widziałeś ją po raz ostatni. Musimy wziąć pod uwagę wszystkie okoliczności, wszystkie fakty, wszelkie możliwości. Więc opanuj się i mów.

Brzmiało to niemal błagalnie i trochę fałszywie. Bo przede wszystkim ja sam muszę się opanować i rzeczy przyrzeczyć na trzeźwo.

Więc Filip:

— Tylko bez paniki, tata. Chyba znasz tę złośliwą małpę, nie? No to jeśli ktoś tu się bawi w chowanego, to wiesz kto. Pamiętasz, jak nas urządziła w ubiegłym roku podczas wycieczki w góry?

Urządziła, oczywiście. Bardzo mi się chce wierzyć, że i tym razem jest to tylko bezceremonialny i dość okrutny wybrzyk z jej strony.

— Tamto trwało pół godziny — mówię.

— Bośmy ją znaleźli.

— Właśnie. A teraz nie.

Filip przez chwilę milczy.

— Znajdź się sama — mówi potem. — Bądź spokojny.

Filip robi krok do przodu. Znowu się oddala, nie śmie jednak wycofać się z pola.

— Mówiłem ci, że ona mnie nie a nic nie obchodzi — próbuje jeszcze postawić się, ale zaraz dodaje: — Ty tu umierasz ze strachu, a ona pewnie u ciotki śmieje się w kulak.

— U ciotki!? — wykrzykuję z niedowierzaniem.

Filip odwraca głowę i zerka na mnie z ukosa.

— A dlaczego nie?

Rzeczywiście — dlaczego nie? Skoro między nią a Filipem doszło do tak ostrego konfliktu, skoro nastąpiło tak gwałtowne zerwanie, mogła przecież w rozpaczy lub złości podjąć decyzję ucieczki, a więc wsiąść w pociąg i pojechać do ciotki. Ale za co? Pieniężny żadnych nie miała, co najwyżej parę Euro na lody czy kokę. Cóż, mogła pojechać na gapę — i bodaj jej udało. Ale w takim razie ciotka powinna była od razu zadzwonić. Z domu nie mogła, nie ma telefonu, musiałaby pójść na pocztę, lecz to kosztuje. Mogła wysłać depesze, to taniej. Może wysłała, ale zanim dostarczą... Mała zresztą nie musiała przyznawać się do ucieczki, mogła wmówić ciocie, że jej, Dżulietty przyjazd do Bono jest ze mną uzgodniony. A jeśli się nie udało na gapę i policja ją za frak przytrzymała? To policja by już zadzwoniła. Ba, przed policją też mogła narzekać różnych rzeczy, nie ujawniając bynajmniej skąd jest i gdzie mieszka. To trzeba zadzwonić na policję. Najmniej to przyjemne zajęcie. Już widzę gębę któregoś z inspektorów: a cóż to za opiekun, od którego podopieczni uciekają! Fakt, nie ma co ukrywać, kłepski ze mnie opiekun, podjąłem się zadania ponad moje siły, nie zdałem egzaminu. Głupio mi, to prawda, ale też żal wielki mam do tej małej — och, ty sprzeczko, sardynko niewdzięczna, chciałem cię mieć jako córkę własną, a ty mi tu tak zagrywasz, na dudka wystrychasz — „ele mele dutti”, właśnie, nie tyle ele mele, co trele morele, proszę ja szanownej pani...

— Wcale nie musiała pojechać do ciotki — mówię. — Równie dobrze mogła się zatrzymać u którejś ze swoich przyjaciółek w miasteczku, nie uważasz?

— Nie uważam — odpowiada Filip. — Ona tu nie ma żadnych przyjaciółek.

— No to ma jakieś tam koleżanki.

— Żadna „jakas tam” koleżanka nie wzięłaby jej do domu.

— A to dlaczego?

— Bo ona przynosi nieszczęście.

No proszę, tego jeszcze brakowało! Nim człowiek ruszy w jakimś określonym kierunku, ten mu już nogę podstawi. Można zważować z tak pomyslowym synem. Z najwyższym trudem opanowuję narastającą we mnie irytację.

— Co ty wygadujesz, Filip? Zastanów się, proszę.

— Wiem, co mówię.

— Czy mógłbyś się jaśniej wyrazić?

— Pogadaj z ludźmi, to się dowiesz. Na co spojrzysz, zamieniam w żło.

— I ty w to wierzysz?

— Grać to ona umie. Nie znasz jej.

— Powiedzmy. A potem?

— Co potem?

— Zerwałeś z nią zupełnie? Przestałeś się nią interesować?

— Pewnie.

— Nie wiem dlaczego jest to takie pewne. Ale niech będzie. A wczoraj?

Filip poprawia się na krześle, ostentacyjnie odwraca się bokiem.

— A wczoraj? — ponawiam pytanie. — Wczoraj wieczorem?

Zerka na mnie z niechęcią.

— Co to, tato, śledztwo?

# Urowadzenie Dżulietty

Eugeniusz Kabalc

Filip podnosi wyżej głowę i wyprostowuje się jakby dla nabrania oddechu.

— Tata — mówi z przyganą w głosie — ty jesteś jak dziecko. Chciałbyś widzieć wszystko proste i jednoznaczne. A świat jest piekielnie złożony.

Powinno się się uśmiechnąć — tak bardzo odwrócił rolę. Ale teraz nie mam na to siły. Zaskoczenie jest krótkie, na refleksje nie ma czasu, jedna jest sprawa, która domaga się wyjaśnienia.

— Zapewne — zgadzam się z udaną pokorą. — Ale mówiliśmy o Dżulietcie.

— Właśnie. Mam dowody.

On ma dowody. Przeciwno Dżulietcie, Dżulietta nie jest tą miłą, trochę zwariowaną dziewczynką, za jaką ją brałem. To maska, pod którą kryje się istota fałszywa, monstrum obdarzone przywarami złośliwego szkodzenia. Filip to odkrył i przestał ją lubić. Nikt tu jej nie lubi — „niech sama nie chodzi do miasteczka”. Co za tym naprawdę się kryje?

— Masz dowody przeciwko Dżulietcie? — pytam.

— Oczywiście.

— Że przynosi nieszczęście?

— Właśnie.

— Czy dlatego przestałaś ją lubić?

Filip wspina się na palce, jakby chciał skoczyć do przodu i wyrwać się wreszcie z kręgu tej tak deprymującej go ciekawości ojca. Nie zdobywa się na to, ale zimnym, nieprzyjaznym tonem proponuje:

— Czy możemy zmienić temat?

Mój syn staje okoniem. Wiem, że nie jest to pospolity kaprys, wiem, że kryje się za tym jakaś jego ważna sprawa, a przecież mam ochotę podnieść nań rękę.

Otarcam go ramieniem, usadawiam na ogrodowym krześle obok, sam siadam naprzeciw.

— A teraz mów — proszę. O tym, co się między wami stało, a zwłaszcza co się stało wczoraj wieczorem. Pamiętaj, że oprócz ciebie jestem tu jeszcze ja, a ja muszę wiedzieć o wszystkim. Taka jest moja ojowska rola, wcale nie najrzeczniejsza, przynajmniej.

Rozdzielający nas biały stolik rozjaśnia się ostro w silnym rozbiysku nieba. Od gór ku morzu przetacza się łoskotliwy grzmot.

— Będzie burza — mówi Filip.

Z uporem trzyma się na uboczu.

— Ta dziewczyna może cię zupełnie nie obchodzić — mówię — zgoda. Ale mnie obchodzi bardzo i proszę cię, żebyś o tym nie zapominał. No więc: posprzeczaliście się.

— Ona jest nieznośna — mówi Filip spoglądając w stronę gór.

— Wobec ciebie.

— To wystarczy.

— Słusznie. Ale przedtem nie była taka.

— Właśnie.

— Zmieniła się?

— Ujawniła się. Pokazała swój prawdziwy charakter.

— Jak to się stało?

Filip milczy.

— Kiedy to się stało?

— Przed kilkoma dniami. Jak tylko poczuła się pewnie.

— Co to znaczy?

— No, że z nami zostaje.

— Po odjeździe ciotki?

— Co? Nie, chyba jeszcze przed.

— Wtedy nie mogła być jeszcze pewna. Przeciwnie, wydała mi się bardzo zanępkolona wizyta ciotki.

Miał się po salonie jak dzikie zwierzę, aż sławny oburzył wielką kryształową popielnicę, gramolną ręką z rozmachem o marmurową posadzkę. Dopiero to go trochę uspokoiło. „Nie zgadzam się!” powtórzył podchodząc do mnie krokiem człowieka przekonanego o swojej racji. „Porusz niebo i ziemię, żeby czym prędzej ich pochwycono i wadżono za kratki na długie lata! Banda teherzy! Już im nie wystarczają bogactwa przemysłowców, na biedne dziecko podnieśli rękę... Ja się tu, na tej wyspie, proszę pana, urodziłem, to jest moja ojczyzna, nie Włochy, nie. Sardynia jest moim krajem i nie pozwolę, aby przez grupę zbrodniarzy i wyklejonych ten kraj zyskał miano bandyckiego gniazda. Przebrała się miarka. Przeholowaliście, panowie gangsterzy!” Profesor podniósł palec do góry i groził komuś niewidzialnemu za moimi plecami. „Zabierzemy się do was tak, że głowy polecą! Wyrwimy z korzeniami ten trujący chwast, raz, na zawsze utracimy ten zbrodniczy proceder!”

Wylądowawszy się nieco, profesor wezwał służbę, kazał sprzątnąć z posadzki okruchy kryształu i polecił podać nam kolację do gabinetu, zaproponował, żebyśmy się tam przenieśli. „Musimy teraz porozmawiać spokojnie” oświadczył, zamykając za sobą dokładnie drzwi i podchodząc do okna, za którym burzowe chmury zagęściły mrok do czerni. „Nim połączymy się z policją...” „Z policją?” zawołałem. Bardzo nie chciałem mieć do czynienia z policją i kiedy uświadomiłem sobie jak bardzo, byłem już świadomy, że będzie to konieczne. Mimo groźnego ostrzeżenia z telefonu. „Oczywiście — potwierdził profesor, zapuszczając szczerze żaluzje okna i włączając klimatyzator. — Powiadomimy ich o tym, musimy to zrobić, choć bez wielkiej nadziei, że nam pomogą. To znaczy będą chcieli pomóc” — dodał wyjaśniająco; przelał telefon na gabinet i podszedł do szafki z chłodzonymi napojami. „Whisky? Campari?” A kiedy skinąłem głową na campari, „to dobrze nam zrobi” powiedział i przysunął mi szklanceczkę dopelniał ją wodą. „Będą chcieli pomóc — powtórzył rozsiadając się wygodnie i mieszając swoją whisky z lodem. — A jakże! Postawię na nogi wszystkie okoliczne posterunki, rzucę w teren karabinierów z Cagliari, może nawet ściągnę na pomoc specjalny oddział niebieskich kasków z kontynentu, ale wcale to nie znaczy, że cała ta operacja zakończy się powodzeniem. Przykro mi to stwierdzić, widzę niepokoju na pana twarzy, cóż, kiedy jeszcze nie zdarzyło się, aby to policja uratowała kogokolwiek z uprowadzonych. Ach tak, raz komuś udało się wyrwać z rąk porywaczy, uciec im po prostu, ale też bez pomocy policji; owzem, kilkakrotnie policja wpadała na trop przestępców, zakuwała ich w kajdanki, pakowała ich do więzień, ale zawsze po fakcie. A faktem tym było uwolnienie uprowadzonego po złożeniu odpowiedniego okupu.”

Profesor zamilkł, zerknął na mnie z troską, po czym zdjąwszy okulary przetarł zmęczone oczy. Wtedy zwróciłem mu uwagę, że tym razem okup nie wchodzi w rachubę, ponieważ ja nawet miliona nie będę w stanie uzbierać, a cóż dopiero pięćdziesiąt. Pokiwał ze zrozumieniem głową i westchnął. W tym cały szkopuł, powiedział, bo on też. Przeparsza, że od razu tak ostro wtrącił się w tę sprawę, ale jestem jego gościem, więc czuje



Rys. E. Inglot

się za mnie odpowiedzialny — podobnie jak ja za tę smarkulę, co rozumie i szanuje, bo ktoś tu inny mógłby się jej losem zainteresować. A zatem niech pozwolę, że on tą sprawą pokieruje, choć jeszcze nie wie jak, bo wcale to nie jest proste, ale niech pozwolę, obiecując, że nie nie przedsięwzięm na własną rękę, przeciwnie, będę robił tylko to, co mi poleci. Jeszcze raz przeprosił, że ośmiela się narzucać mi taką umowę, prosi jednak bym pojął, jak złożoną grę trzeba tu będzie prowadzić i jak łatwo w niej jest uczynić fałszywy, a brzemienny w skutku krok.

Przytaknąłem skwapliwie, rad, niemal szczęśliwy, że znalazł się ktoś, kto zdejmię ze mnie ciężar garb bezradności, ktoś, komu mogę zaufać, że zostanie uczynione wszystko co trzeba, aby Dżulietta odzyskać. Uśmiele tyle egoistyczne, co usadnione w mojej sytuacji cudzoziemca, obcego na tej wyspie, wśród tych ludzi, ich języka, obyczajów, praw.

Profesor podszedł do telefonu i wykręcił numer. Rozmawiał z kimś w dialekcie i choć byłem już trochę z nim oswojony, niewiele zrozumiałem ponad to, że chodziło o zniknięcie Dżulietty. „Rozmawiałem ze znajomym inspektorem — powiedział profesor odkładając słuchawkę. — Zaraz tu będzie!”

Ufałem profesorowi Verdze, zawsze ufałem, gdybym był nie ufał, nie znalazłbym się na tej wyspie i jakkolwiek nasza współpraca nie byłaby możliwa. Ufałem mu w sprawach zawodowych, musiałem zaufać i teraz. A przecież druzgaga wątpliwości zakluta nieocze-

Dokończenie na str. 10



# Show po polsku

**W** GRUDNIU do Lublina zawitała przedstawiela polskiego undergroundu artystycznego: R. K. Sokółowska i Leonard Przyjemski. Przewodził im Anastazy B. Wiśniewski i w gruncie rzeczy on jest tu postacią wartą szczególnej uwagi. Przyjemskiego nie sposób nie brać na serio, z R. K. Sokółowską można porozmawiać, aczkolwiek nie obiecuje to rewelacji pozawzajemnych.

Pokazała ona „Show pictures”, czyli płachty czerwonego materiału, na których bielili się lub żółcili kropki i napisy. Przyznaje, nie wzbudziły we mnie żadnej głębszej refleksji, nie zaintrygowały jako zjawiska materialne i jako przekazy informacji. Nie mam o to najmniejszej pretensji do autorki, jeśli już, to mógłbym mieć pretensje do siebie samego — za brak określonej wrażliwości. Ostatecznie bowiem wiezę R. K. Sokółowskiej, że pokazując publicznie te rzeczy, kierowała się potrzebą społecznego uczestnictwa, chciała do kogoś trafić, coś uzyskać. Niemniej jednak proszę pana Anastazego B. Wiśniewskiego, aby przestał ludziom wmawiać, że „Można obok tej (R. K. S. — przyp. aut.) sztuki przechodzić, ale nie można jej nie zauważyć”. DREWOTA sformułowania, powielanego miliony razy w różnych recenzjach, wskazuje na poważne braki w recepturze kielbasy wyborczej, którą A. B. W. wabi prostactwów.

Mógłbym mieć zatem pretensję do siebie, ale jej nie mam, bo widzę, o co chodzi, a szacunek dla intencji autorki nie zwalnia mnie z obowiązku wskazania na mało wydajne źródła inspiracji R. K. S. Zwiążą one działania tych ludzi, którzy np. obok eksponowanego przedmiotu przypinają kartkę z jego nazwą. Jest to podejście znane ze „strukturalistycznej próby prawdy”: z jednej strony zjawisko realne, z drugiej — abstrakcyjna konstrukcja formalna. Matematyczny rachunek macierzowy wykorzystany dla celów, powiedzmy, artystycznych, też się może przydać. R. K. Sokółowska, trzymając się lingwistycznego źródła, czepie z niego podniety do postaciowo odmiennych rozwiązań. Otóż, być może, pragnie przybliżyć nam prapoczątki języka, kiedy to egzystował on w formie oderwanych dźwięków (liter), które połączyły się z czasem w słowa (pojęcia). Albo też zachęca nas do mniej skomplikowanej zabawy, której efekty wiążą się z lamaniem się pojęciowego sensu wyrazów. Tak czy inaczej R. K. S. „atakuję” stereotypy kulturowe na gruncie lingwistycznym. No cóż, wiadomo, że przez Ziemię przewinęło się ok. 3 tysięcy kul-

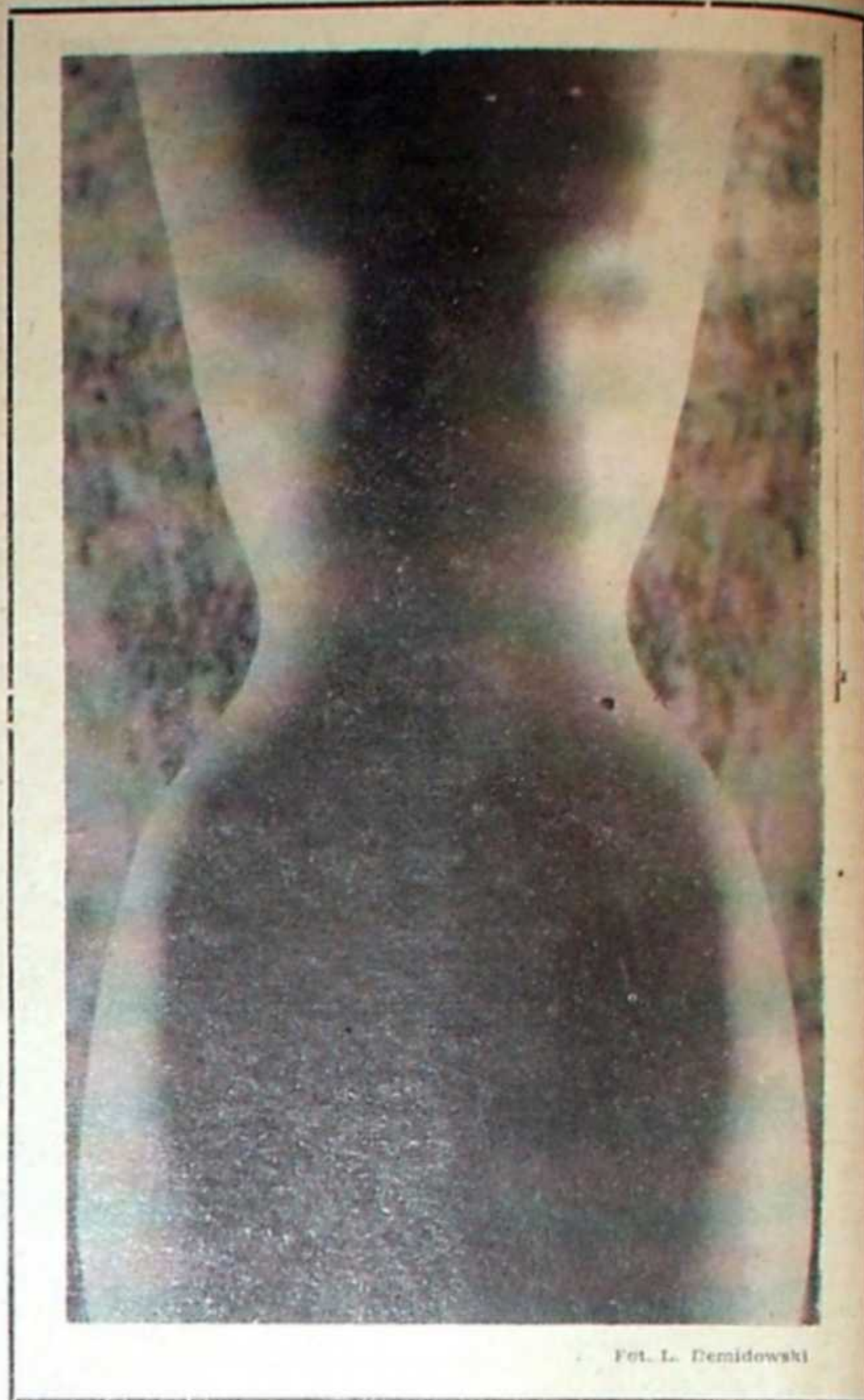
tur, prędzej czy później i nasza się „przewinie”. Wątpię jednak, czy za sprawą działań przedstawionych w BWA, które są niczym innym jak uproszczoną ilustracją zabiegów z pogranicza lingwistyki strukturalnej, ilustracją zdawkową, niestety, nudną — tak, jak niemal cały polski konceptualizm, przeniesiony nad Wisłę metodą „usta — usta” z innych rejonów kulturowych, rządzonych inną świadomością.

Leonard Przyjemski natomiast przedstawił warianty, nazwijmy je tak, układów formalnych i pozaformalnych z polską flagą narodową. Spięta w węzły, śmieszna i patetyczna, czysta i brudna, malowana na płótnie i rzeczywiście — ile układów, tyle opowieści, symboli i metafor o treści wcale nie arkadyjskiej, na pewno przejrzystej: aż do bólu w oczach, w sercu. Twórczość Przyjemskiego jest zupełnie wyjątkowym zjawiskiem w kontekście współczesnej sztuki polskiej, a nie chodzi w tym wypadku tak bardzo o jej formułę stylistyczną, co o sens ideowy. Przyjemski — mimo że symbole, metafory, to tamto — wali wprost, bardziej, niż to robiła krakowska grupa „Wprost”, lubującą się w skręcaniu ludzi w korkociąg (na obrazie). On nie z tych, co nie śpiąc, czuwają w ogóle i w obawie przed czymś, on nie z tych, co uczą się bezpotrzebnych tekstów na pamięć, tekstów neutralnych, demonstrując swoje przywiązanie do absolutnej czystości artystycznego działania, która przecież i tak jest niemożliwa. Gdzie się ten Przyjemski uchowal?

Podczas otwarcia wystawy wystąpił Anastazy B. Wiśniewski. Nie byłem, bo myślałem, że podobnie jak kiedyś w Osiekach, będzie milczał. Ale przeczytałem wstęp do katalogu wystawy R. K. S., z którego dowiedziałem się, że poza awangardą oficjalną istnieje awangarda prawdziwa. Narodziła się ona niedawno: „Latem 70—71 to już nie tylko okres przemian i budowy „nowego” w życiu gospodarczym i społecznym, to także ciche puk, puk nowej sztuki”. Panie Anastazy, dość głośno puk, puk nowej sztuki słychać było już w połowie lat sześćdziesiątych, m. in. podczas I Symposium Artystów Plastyków i Naukowców w Puławach, gdzie to pewna pani z Wrocławia zbudowała skrzynię, której zgodnie z zamierzeniem nie można było wnieść do sali ekspozycji. Anastazy B. Wiśniewski tak mocno odcina się od sztuki oficjalnej i profesjonalnej, tak akcentuje haniebne próby wyciszenia „nowej sztuki” przez artystów będących przy korycie, aż zaczyna się podejrzewać, że pod tą warstwą pokrętnie zbudowanych zdań kryje się żarliwe pragnienie powszechnego uznania. No, a jeśli do tego dojdzie, to kto wówczas będzie tworzył „prawdziwą awangardę”? Look down?

Kiedy jednak Anastazy B. Wiśniewski mówi o potrzebie sztuki rozwijanej poza układami, to choć mówię tym samym o sztuce niemożliwej, wypada zgodzić się z nim bez reszty, zapominając o skrzywionej perspektywie historycznego widzenia, narzuconego zapewne przez wiarę w znaczenie działania własnego i towarzyszy. Towarzyszy broni, tak właśnie, bo w całej sprawie sztuka jest tylko jednym z elementów, nie wiadomo, czy najważniejszym.

LJK



Fot. L. Demidowski

## POD PARAGRAFEM

# OSZUSTWO

**W**IESŁAW B. ma w swoim repertuarze kilka numerów: na kupon toto-lotka, na złoty metal, na pośrednictwo handlowe (kupno samochodu, sprzedaż biżuterii) i koronny numer — na sprzedaż mieszkania. Nie jakieś genialne oszustwa, lecz prymitywne, chamskie zagrywki, a najgłupsze z nich — na kupon toto-lotka, wystarczy mieć nowy blankiet, wypełniony już po losowaniu, i starą banderolę... Kiedy się przypatrzyć sprawom o oszustwa, to nawet trudno żałować tych oszukiwanych, sprawy te bowiem wyrastają przeważnie na glebie ludzkiej głupoty, bezdennej naiwności i łatwowierności, chciwości czasem.

Wiesław B., oczywiście, wszystkiemu i wszystkiemu zaprzecza, bo wszyscy kłamią. On jest niewinny, oni są winni. On jest ofiarą ich ciemnych machlojek, w które ciągnęli go niemal siłą, a on ulegał, bo ma słaby charakter, pieniążki lubi, wódeczkę lubi, dziewczyny też lubi. Więc jest niewinny i będzie się odwoływał do upadłego. Bo Wiesław B. jest ponadto pieniążek i nie ma do stracenia. Kiedy w roku 1966 za „sprzedaż” swego mieszkania i pięć innych numerów otrzymał w I instancji trzy lata oraz 5 tys. zł grzywny,

to się odwołał. Ale odwołał się także i prokurator. Przewo Wiesław B. otrzymał w II instancji pięć lat i 10 tys. zł grzywny. Trzy i pół roku odsiedział, a następnie został warunkowo zwolniony na początku 1969 roku.

Zaś mieszkanie własnościowe, którym Wiesław B. „handlował” i które zajmuje wraz z żoną i dziećmi, zostało „zajęte” przez komornika na rzecz uszkodzonego. To nie przeszkadza, że po wyjściu z więzienia Wiesław B. dwa razy usiłował sprzedać ten pokój z kuchnią, ale udało się dopiero za trzecim razem, pod koniec 1971 roku. Sprawa ta wygląda na pojedynek dwu małżeństw: Wiesława i Janiny B. oraz Stanisława i Pelagii K. I są dwa zupełnie odrębne wersje tej sprawy.

Małżeństwo K. od 12 lat mieszka z synem i dziadkiem w starym budownictwie — w jednym pokoju bez kanalizacji i gazu. Należeli do spółdzielni mieszkaniowej — z nadzieją na 1975 rok. Stanisław K. poznał Wiesława B. w przedsiębiorstwie, gdzie razem pracowali i nawet się po miesiącu polubili. Przewo Wiesław zwrócił się do Stanisława o pożyczanie pewnej kwoty, jako że ma możliwość kupienia sobie większego locum, a dotychczas zajmowane chce sprzedać za 150 tys. zł. Na to Stanisław, że on sam chętnie by kupił ten Wiesławowy pokój z kuchnią i wygodami. Dokonano oględzin przedmiotu transakcji i małżeństwo K. zaczęło gromadzić gotówkę: wycofało wkład ze spółdzielni, uruchomiło własne oszczędności, mąż pożyczł od matki, dwu braci i kolegi, żona wzięła pożyczkę z zakładu pracy. Fakty i świadkowie to potwierdzają.

„Przez cały ten okres bardzo przyjaźnił się z sobą — opowiada Pelagia K. — dosłownie każdą niedzielę i w tygodniu chodzili oni do nas, my do nich, bardzo się cieszyłam, że będę mieć nowe, własne mieszkanie. Często Wiesław B. przychodził i mówił, że potrzebuje 100 zł na taksówkę, bo będzie coś zalał w mieszkanie, i ja dawałam mu dosłownie ostatnie pieniądze, jakie miałam w

domu. Razem spędziliśmy święta Bożego Narodzenia i Sylwestra”. W trakcie tych towarzyskich kontaktów Wiesław wraz z małżonką otrzymali od małżeństwa K. 129 tys. zł w kilku ratach. Wiesław inkasował, pisał przy świadkach oświadczenie na otrzymaną ratę, świadkowie się podpisywali, Wiesław się podpisywał, jego żona chwylała forszę do torebki. „Żona Wiesława B. jak nie miała większej ilości pieniędzy w torebce, to ona była chora” — powie potem jeden ze świadków. Oczywiście, małżonkowie K. nie zobaczyli już ani swoich pieniędzy, ani mieszkania, do którego mieli się wprowadzić w styczniu 1972 roku. Janina B. przyszła jeszcze w lutym do amatorów mieszkania i oświadczyła, że jej mąż zabrał pieniądze ze sobą i przepadł. Ale następnie Wiesław B. pojawił się osobicie, napisał kolejne oświadczenie, tym razem, że odda pieniądze, które pożyczył. I znów przepadł. Awanturom i groźbom między oboma małżeństwami nie było końca.

Wiesław B. absolutnie nie przyznaje się. Owszem, pożyczył od Stanisława K. 5 tys. zł w zastaw radia marki „Merigan” (w obudowie czarno-białej z rączką, kupionego w komisie przy ul. Staszica róg Zielonej w maju 1971 roku za 1350 zł) oraz maszynę do szycia marki „Tula” (potem powie, że marki „Lucznik”). A kiedy nie miał z czego oddać, Stanisław K. powiedział mu: „Słuchaj Wiesław, ty jesteś swój chłopak, siedziałeś w więzieniu, to ja ci dam zarobić, mnie pomóżesz i o długu zapomnij, siedziałeś w kryminalu, to wiesz, jak sprawy idą”. A potem się spotkali z bratem Stanisława K. „Nic obaj przez cały czas nie mówili, potem, sam nie wiem, dlaczego, zapoznał mnie ze wszystkimi jego braćmi, tj. z Włodawą, z Radomią i z Poznanią. U każdego z tych braci byłem razem ze Stanisławem K. i piiliśmy wódkę, a oni tylko mnie po prostu oglądali i nic nie mówili”. Aż w końcu go wciągnęli w wielki handel belami zamazu i futer karakulowych. On obstawiał, jak oni dokonywali transakcji, i dostawał za to wynagrodzenie, w sumie około 15 tys. zł i jeszcze wódkę.

Ale jego żona, z którą źle żyje, bo lub dziewczynki, i z którą razem mieszka ze względu na dobre dzieci, ale mają podział wspólności majątkowej i płaci jej 1000 z alimentów miesięcznie, a więc jego żona enotliwa niewiasta, chciała zakapować cały ten zamazowy interes, i wtedy gang braci K. przyjechał po niego, zabrał go, posadził za stołem, zamknął drzwi przednio, drzwi na klucz, wręczył długopis i kazał napisać szereg oświadczeń, jakoby on był winny Stanisławowi K. jakieś kwoty. „Wszyscy bracia stali nade mną, Stanisław K. przystawił mi nóż do gardła i mówił: pisz, co ci każe, bo cię zalał wimy...”. Tak oni z nim, Mieszkańca nie mógł obiecywać, bo jest nie jego, tylko żony. A Stanisław K. to na dodatek handluje dolarami i złotem, i chodził z nim na dziecięcym.

Notabene tylko dwa oświadczenia Wiesława B. pisane są długopisem (każde innym tuszem), a pozostałe atramentem, o czym on zapomniał w swojej legendzie, mieszaninie kłamstw i półprawd... prawdopodobnych, jak zwykle w takich przypadkach. Kto to „rozbiere”? Jeden ze świadków zeznał: „Wiesław B. powiedział mi, że wraca z trasy, że żadnych pieniędzy od nikogo nie pożyczał, że jak on pójdzie siedzieć, to pójdzie również siedzieć pól Lubgatu...”.

Małżonka Wiesława B. z grubsza potwierdza jego legendę. Mało wie, o mieszkaniowym handlu nie, o jakichkolwiek pieniądzach nie, bywali u małżeństwa K., bo Wiesław ją ciągnął. Nie podobają jej się machlojki zamazowe. Przy niej mąż żadnych oświadczeń nie pisał. Na nie konfrontacje, na nie świadkowie.

W I instancji Wiesław B. został skazany na 5 lat i 10 tys. zł grzywny, Janina B. na 2 lata w zawieszeniu oraz 8 tys. zł grzywny. Małżeństwo K. nadal mieszka z synem i dziadkiem w starym budownictwie — w jednym pokoju bez kanalizacji i gazu. Pieniążki nie odzyskano. Małżonkowie B. odwołali się i oczekują na wyrok w II instancji.

POM

Dokończenie ze str. 9

kiwanie boleśnie — ostrzeżenie człowieka, w którego rękach znajdowała się Dżulietta, brzmiało dość jednoznacznie. „Czy to było konieczne? — stęknąłem podrywając się z miejsca i rozpoczynając niespokojne krącenie po pokoju. — Ostrzegano, by tego nie czynić.” „To ich stara bandycka metoda — odrzekł profesor — zastraszyć, zaszantażować”. „Ale twierdził pan, że policja niewiele nam pomoże!” upierałem się beznadziejnie. Profesor wydawał się szczerze zmartwiony. Odstawił szklankę, zdjął okulary i przecierał je z irytującą pieczołowitością. „Nam — powiedział cicho — będzie musiała pomóc. Bo my — dodał, zerkając na mnie niemal ze współczuciem — nie mamy innego wyjścia.” Mrużył swoje nagle, pozbawione okularów oczy i sam robił wrażenie godnego litości. „Pięćdziesiąt milionów lirów to prawie sto tysięcy dolarów — mówił głosem, w którym pojawiło się nagle zmęczenie. — Choćbym na-

wet bardzo tego pragnął, nie byłbym w stanie pana poratować. A skoro okup, jak pan sam już to zauważył, nie wchodzi tu w rachubę, trzeba uciec się do innych sposobów. Jakich, jeszcze nie wiem...” „Trzeba przekonać porywaczy, że źle trafili — powiedziałem stanowczo. — To chyba jedyne wyjście”.

podstawy, by się obawiać, że nie dadzą się przekonać perawają. Każą nam stanąć na głowie, a owe nieszczęśne miliony gdzieś zdobyć. Nie zdecydowaliby się na tak ryzykowny krok bez przekonania, że je zdobędziemy. Spróbować jednak można, a nawet trzeba...”

lem niezbyt rozsądnie. „Nie ma” odrzekł i zapatrzył się we mnie ni to ze zdziwieniem, ni z dezaprobatą. „Dziękuję” powiedział profesor. „Smacznego” odpowiedział kamerdyner i wycofał się do drzwi.

„Jakkolwiek wkrótce i tak się wszystko wyda — podjął potem profesor — i nim się zorientujemy którejdy to przeciekło, prasa podnieśli narodowe larum, na razie zachowajmy dyskrecję. I dlatego inspektor zjawia się tu półprywatnie, choć odpowiednio komórki śledcze i posterunki drogowe na całej wyspie zostały już postawione w stan alarmu. Niech pan będzie spokojny, otrzymam zapewnienie, że przez jakiś czas rzecz zostanie zachowana w całkowitej tajemnicy”. „Nie rozumiem tylko jednego — przyznałem się — dlaczego ich wybór padł na Dżulietę? Toż to absurd, to musi być jakaś pomyłka!”

„Pomyłka, powiada pan — zastanawiał się profesor. Podszedł do nakrytego w kącie stołka, przyjrzał się rozstawionym daniom. — To jeszcze gorzej... Gdzie jest pański syn?” — zapytał nagle...

Eugeniusz Kabac  
(Fragment większej całości)

## Uprowadzenie Dżulietty

Profesor nie zaprzeczył wprost, nawet skinął głową, jakby przyjmując mój punkt widzenia. Ale odpowiedział: „Może tak, a może nie. Gdybym uwierzył w skuteczność takiego działania, byłbym najszcześliwszym człowiekiem na świecie. Boję się jednak, a mam

Profesor zamilkł, bo wniesiono kolację. Za oknem przetoczył się grzmot i wiatr trzepnął deszczem po żaluzjach. Kamerdyner nakrył przy stoliku w kącie i wycofał się do drzwi. „Nakryłem dla trzech — zameldował — bo panienki nie ma”. „Nie ma?” zapyta-

Kamena str. 10



Z JUBILEUSZEM 20-lecia Wydziału Humanistycznego UMCS...

„Annales UMCS” powstały w r. 1946, jako 6-sekcyjny...

„Annales” mają nieco inny charakter niż pozostałe czasopisma...

Otwiera go artykuł Tadeusza Margula, omawiający ostatnie...

Następne artykuły mają charakter językoznawczy i polonistyczny...

Ukazanie się XXV tomu sekcji humanistycznej „Annales UMCS”...

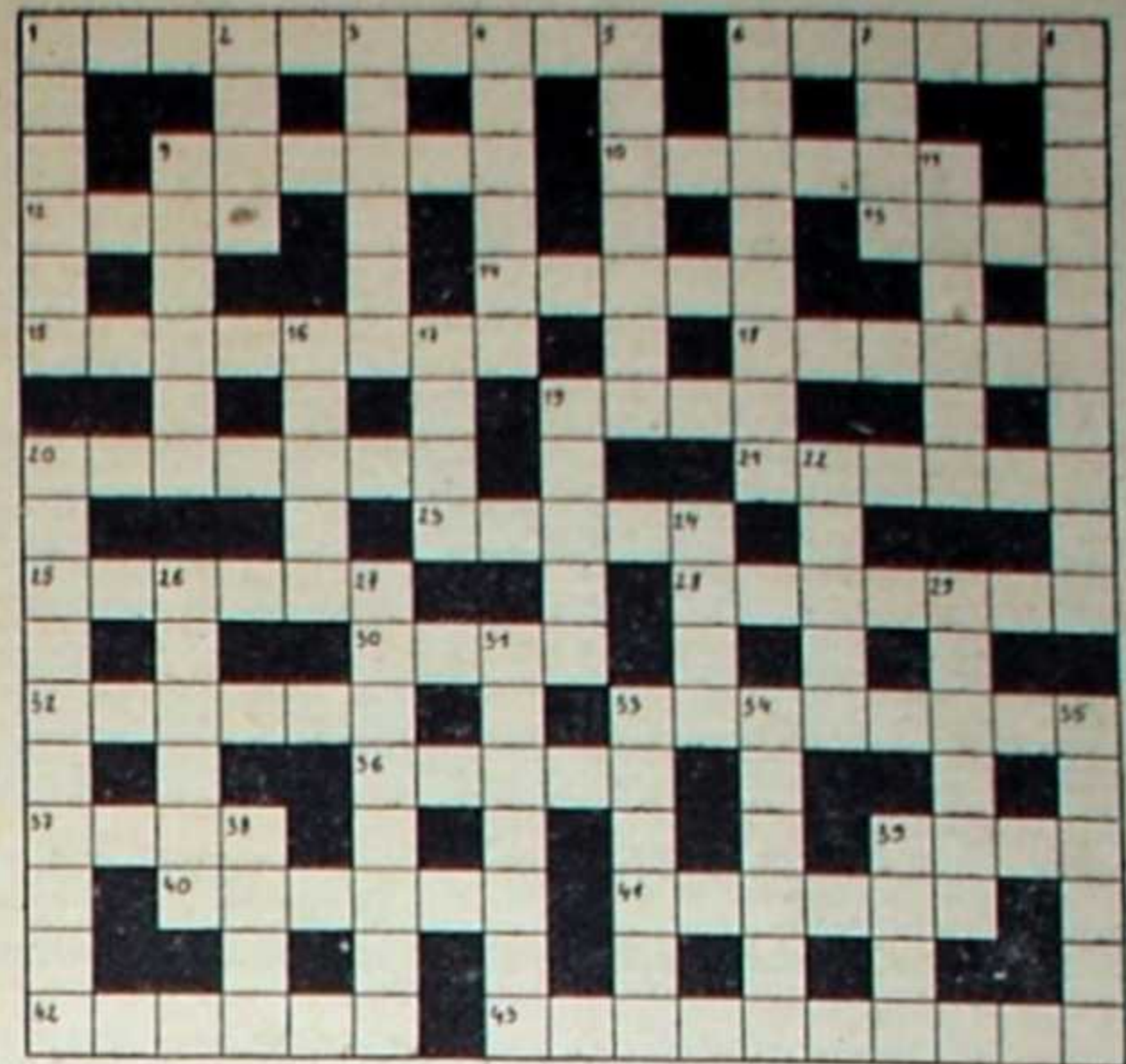
Jak wiadomo, sekcja humanistyczna „Annales UMCS” skupia...

Wiesław Śladkowski

POZIOMO: 1. państwo europejskie, 6. motyl...

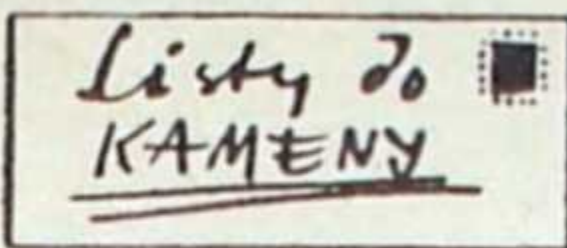
PIONOWO: 1. przepływa przez Muszynę, 2. mostek na statek...

ROZWIĄZANIE LOGOSZYFROGRAMU NR 23



Za prawidłowe rozwiązanie logoszyfrogramu nagrody wylosowali...

ul. Długa 88/1, Tadeusz Bury, Radymno...



Teatr w Puławach

W 31 numerze „Polityki” z ub. roku Konstanty Puzyna...

„Azoty” były zawsze przychylnie ustosunkowane do sztuki...

Jeden dyrektor nie jest w stanie narzucić swoich...

Zebymy dobrze się zrozumieli: ostentacyjnie stoję...

Nasz przemysł w którym jeszcze kilka lat temu...

Na koniec informacja z ostatniej chwili: Studio Teatralne...

Tadeusz Graba Lublin

Kultura w gminie

Gmina ma uświadomić administrację wiejską, zrealizować...

Krystyna Hermanowicz Zamość

Mówisz bzdury tatusiu

Nawiązując do artykułu „Mówisz bzdury tatusiu...”...

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich...

Informacji w sprawie prenumeraty udziela placówka pocztowa...

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe BSW PRASA...

Numer łamaj MIECZYSLAW PSUJEK. Adres redakcji: Lublin, ul. Narutowicza 33

Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 233-93...

Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: Lublin 3, skrytka pocztowa 131...

LZ.Grań. Zam. 3078. 23.XII.73. 18.197. G-4

KAJ

Kamena str. 11

Czterdziesty rocznik „Wierchów”

UKAZAŁ się niedawno czterdziesty rocznik „Wierchów” za rok 1971.

dzając już w r. 1928 do założenia w Polsce specjalnej Ligi...

smami Sierra de Guadarrama i Sierra Morena, które...

Bronisław Zawadzki kreśli wrażenia z trudnych wspinaczek...

nowicz oprowadza nas po „Nieznanych zakątkach Sudetów”.

Wreszcie uświadniłem na końcu, że względu na odrębny...

Rocznik uzupełniający stałe rubryki: Ludzie i sprawy...



